ŚWIAT

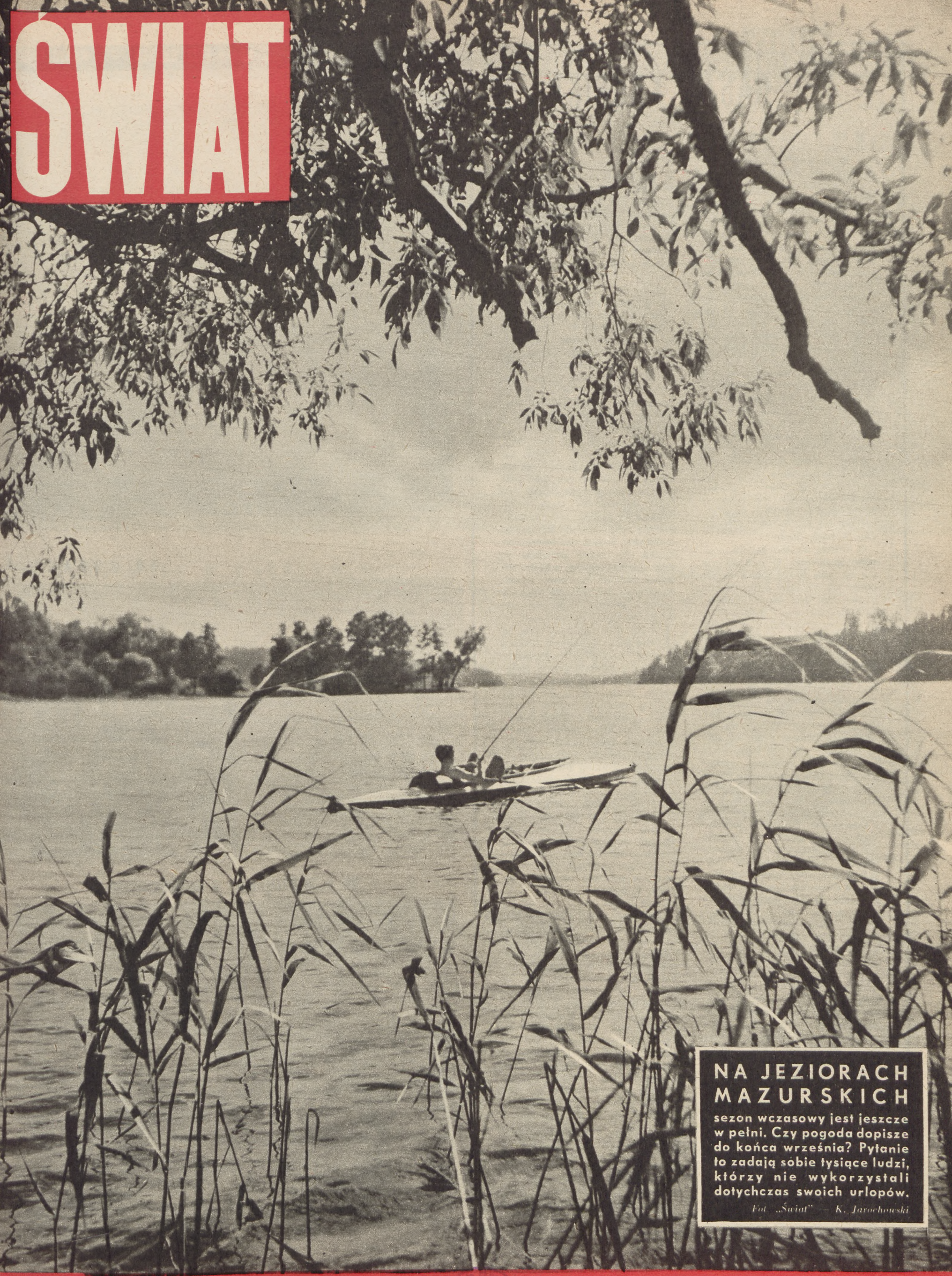

NA JEZIORACH MAZURSKICH

sezon wczasowy jest jeszcze w pełni. Czy pogoda dopisze do końca września? Pytanie to zadają sobie tysiące ludzi, którzy nie wykorzystali dotychczas swoich urlopów.

Fot. „Świat" — K. Jarochowski

Nr 35 (162) — Rok IV 29 SIERPNIA 1954 CENA 1,40 ZŁ

ŚWIAT — NASZA KRONIKA

NAD Krynicą gorące sierpniowe słońce. Na krynickim deptaku faluje wielobarwny tłum. Siedem tysięcy kuracjuszy i wczasowiczów w jednej małej Krynicy na raz!

A wśród tłumu jakiś nieco mniejszy tłumek. Sami młodzi, jak garść barwnych kwiatów skupiona wokół jakiegoś centralnego punktu. Ten punkt skupiający jest biały. To siwa głowa energicznego, perorującego i uśmiechniętego mężczyzny: na stopniach Nowego Domu Zdrojowego odbywa się pamiątkowa, pełna uśmiechów fotografia młodych, skupionych wokół Ludwika Solskiego.

Z młodych, których tu nie brak, najmocniej wrył nam się wszystkim w pamięć niejaki Tadzik. Tak miał na imię. Nazwiska nie znam.

Było to wyjątkowe w tym sierpniu popołudnie, bo nieco pochmurne, szare, jakby ołowiane. Na estradzie deptakowej zajął miejsce zespół pieśni i tańca szkół górniczych z Chorzowa. — Jeden jeszcze szkolny zespół — zdziwił się ten i ów. — Niech tam — posłuchajmy!

O szóstej zwykle deptak krynicki pustoszeje. O siódmej nie ma na nim żywej duszy. O tej porze już wszędzie dają kolację. Tym razem było już po siódmej. Chłodno, wietrzno i niepogodnie, a zwarty tłum stał nieporuszony. Tadzik jest kędzierzawym blondynem, może nawet nieco rudawym. Tadzik śpiewa chłopięcym falsetem. Jego głos ma zaletę, którą odróżni każdy nawet wcale nie znający się na muzyce i na głosie: chwyta za serce. Takie głosy są oczywiście najpiękniejsze na świecie, a nie te, które chwytają tylko za uszy.

Tadzik, jego koleżanki i koledzy śpiewali i tańczyli raz wesoło, raz sentymentalnie. Świetny konferansjer dwoił się i troił. A my wszyscy byliśmy zaskoczeni i zachwyceni. Taki chór przekonuje mnie bardziej niż chemia, którą oczywiście cenię i szanuję. Chemia potrafi oczywiście wyjaśnić, skąd taki ogień i żar bierze się z zimnego kawałka węgla. Dla mnie stało się jasne, dlaczego to węgiel taki gorący: jeśli tacy gorący ludzie go wydobywają! Spróbowałby nie palić się i nie grzać! Wynik każdej roboty taki, jaki robotnik. Tak w kopalni, jak w polu, jak przy biurku.

Jedna z kuszących i ponętnych pieśni starego świata nosi tytuł „W poszukiwaniu straconego czasu". Powieść francuskiego pisarza Marcelego Prousta w kunsztowny sposób opowiada o bólu, jaki sprawia czas, który mija bezpowrotnie. Czas i dla nas mija. Czas istnieje i dla nas — wielka miara życia ludzkiego, ludzkich i narodowych osiągnięć. Czas mija: pomyślcie — to już piętnaście lat od rozpoczęcia drugiej wojny światowej, która wraz z pierwszymi bombami wybuchła pod progiem domu każdego z nas, niosąc ze sobą długie lata walki, mąk i cierpień.

JAKŻE daleko za nami ów czas samotności narodu w obliczu bezwzględnego i silnego wroga! Straszną rzeczą jest samotność człowieka. Przerażającą, potworną rzeczą — samotność całego narodu. Samotność ta była wynikiem zdrady, wynikiem perfidnej faszystowskiej polityki, zmierzającej do związania Polski z obozem mającym odwrócić bieg historii. Ta polityka rzuciła Polskę na łup Hitlera, uprzednio pozbawiwszy Polskę przyjaciół, doprowadziwszy ją do osamotnienia.

Było to wielkie kłamstwo, wielki fałsz. Nieprawda, iż Polska była i musiała być tak samotna. Nieprawda, że miała „przyjaciół" wśród amerykańskich monopolistów i angielskich bankierów. Samotnie czuć się musiała sprawa Polski wśród chłodnych kas pancernych i uzbrojonych bojówek SS. Czyżbyśmy byli istotnie skazani na nieprzyjaźń i samotność w tym wielkim walczącym świecie?

Zadano śmierć temu kłamstwu. Przyjaźń narodów, idąca od wschodu jak orzeźwiająca burza, budzić zaczęła w narodzie polskim słuszne przeświadczenie, że żadne ślepe przeznaczenie, żadna Ananke — bogini historycznych przeznaczeń — nie skazały jej na samotność, a więc tym samym na klęskę. To klasy panujące w Polsce i nad Polską wydały ten wyrok śmierci na swój naród. Samotność bowiem dla narodu oznacza śmierć — przyjaźń oznacza życie.

I OTO mija lat piętnaście od chwili, gdy zadano Polsce cios, który miał być śmiertelny. Cios zadał hitlerowski wróg, ciało ojczyzny odsłonił na cios wroga zdrajca. Zdrajcami Polski byli nie tylko poszczególni ludzie. Polskę zdradziły całe klasy społeczne. Te, które wolały widzieć ją startą z mapy Europy niż uratowaną rękami robotników i chłopów, związaną przyjaźnią ze wszystkimi narodami świata, a zwłaszcza z tymi, które budując swoje nowe życie, budują zarazem właśnie przyjaźń między narodami. Przyjaźń oznacza życie. Tocząca się obecnie walka o realizację radzieckiego projektu zbiorowego bezpieczeństwa — to walka o przyjaźń między narodami, o pokój — a więc — o sprawę Polski.

Budujący nowe życie, a my też nimi jesteśmy, nie załamują rąk nad straconym czasem. Ci, którym życie zeszło na uczciwej pracy, na trudzie tworzenia — nie utracili czasu, nic zeń nie uronili. Nie goni za utraconym czasem stuletni Solski. Dał z siebie ludziom tyle, tak wiele, że młodość sama do niego przychodzi i hołd mu składa. Nie traci czasu Tadzik z chorzowskiej szkoły górniczej: śpiewa i uczy się wydobywać węgiel. Jednocześnie fedrować można: węgiel i pieśń, i radość, i najwspanialsze uczucia.

Piętnaście lat, to niewiele. Piętnaście lat, które mijają, sprawiły, że minęła zmora samotności narodu. Czujemy się swobodnie i dobrze, mocno i pewnie w rodzinie zaprzyjaźnionych, pokojowych narodów. Piętnaście lat, to nie czas stracony. To czas nie zmarnowany.

JAN SZELĄG

Z KRAJU I ZE ŚWIATA — Z KRAJU I ZE ŚWIATA — Z KRAJU I ZE ŚWIATA

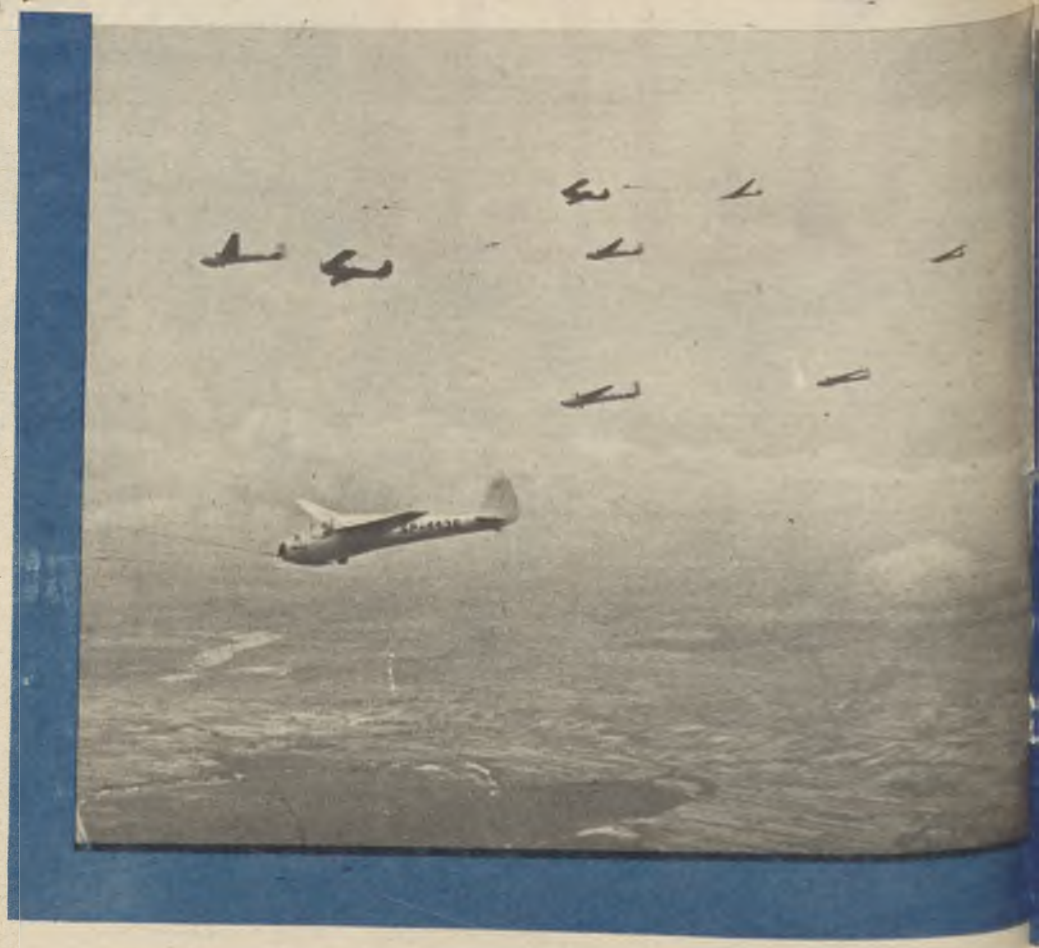

DO ZOBACZENIA

Ponad 10.000 młodych mieszkańców Pekinu zjawiło się na wiecu z okazji zakończenia sesji Rady Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, która zwołała do Warszawy na koniec lipca 1954 r. V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów.

Hsinhua

DR JOHN ROZMAWIA Z DZIENNIKARZAMI

CAF

„Sprawa Otto Johna" utrzymuje w gorączkowym napięciu bońską „Rzeszę". Klika Adenauera przeżywa najgroźniejszy kryzys. Antynarodowa, odwetowa i agresywna istota neohitlerowskiego reżimu bońskiego została obnażona przed całym światem.

NA POKAZIE LOTNICZYM

Zdjęcia: — CAF

Wielotysięczne tłumy warszawiaków otoczyły wielkim kręgiem lotnisko sportowe Gocław (zdjęcie w prawym górnym rogu) aby obserwować dwugodzinny pokaz lotniczy. Widzowie ujrzeli m. in. (zdjęcie drugie od prawej) desant skoczków LPŻ. ZMP-owcy Jerzy Łoboda i Roman Lewandowski wykonali efektowny skok piętrowy. Szybowce typu „Mucha" (zdjęcie pierwsze od lewej) demonstrowały akrobację zespołową. Na pokazie wystąpiły również samoloty zaopatrzone w urządzenia do opylania lasów i pól zagrożonych szkodnikami. Piloci i spadochroniarze uczestniczący w pokazach niedzielnych (odbyły się one także w kilku innych miastach) zademonstrowali w imieniu tysięcy swych kolegów wysokie walory sportowe oraz zamiłowanie do lotnictwa.

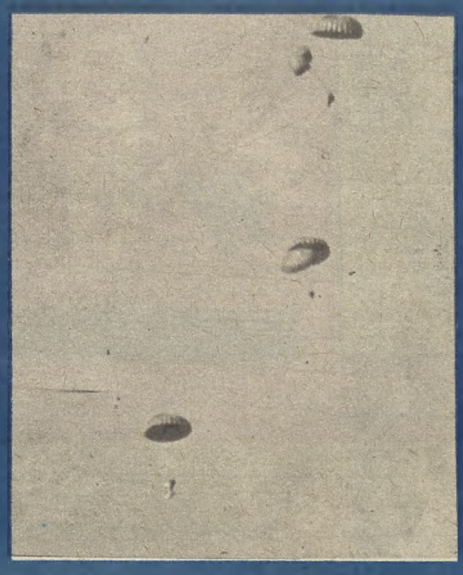

NA FESTIWALU W WARSZAWIE!

BRYTYJSCY LABOURZYŚCI W CHINACH

Heinbaum

16 sierpnia przebywająca w Chinach delegacja brytyjskich labourzystów zwiedziła dawny pałac cesarski w Pekinie. Aneurin Bevan (pośrodku) z przewodnikami.

STRAJKI W ZACHODNICH NIEMCZECH

Keystone

Ruch o podwyżkę płac ogarnął z górą 4 miliony ludzi pracy we wszystkich częściach Niemiec zachodnich. W fabryce Siemensa w Monachium (zdjęcie lewe) doszło do starć między strajkującymi a policją, która (zdjęcie prawe) starała się ochraniać łamistrajków. W masach robotniczych dojrzewa zrozumienie przyczyn ich ciężkiej sytuacji, dojrzewa niezadowolenie z panoszenia się monopoli i ich bońskich sługusów, przekształcających zachodnie Niemcy w protektorat USA.

Keystone

REJS SZKOLNY

Keystone

Lotnicze zdjęcie polskiego statku szkolnego „Dar Pomorza", przepływającego w drugiej połowie bm. przez Kanał La Manche na wysokości Dungeness w hrabstwie Kent

Mapka Goa, ilustrująca rozmieszczenie sił wojskowych portugalskiego Korpusu Ekspedycyjnego.

PŁOMIEŃ Wyzwoleńczy W GOA

Korespondencja własna „Świata" z Bombaju

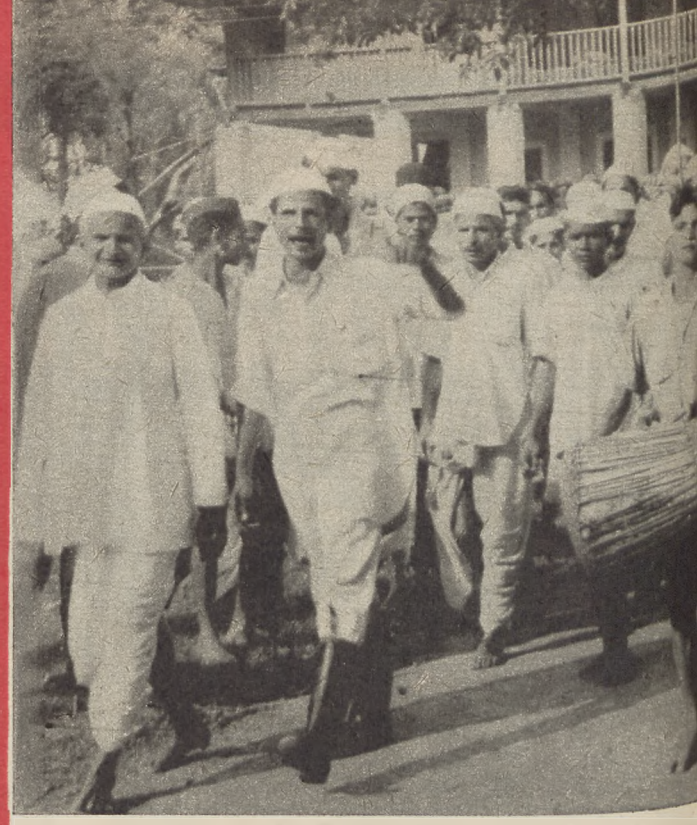

Pod sztandarami indyjskimi, przy dźwiękach instrumentów ludowych chłopi Warli maszerują przez wy-

W DNIU Indyjskiego Święta Niepodległości — 15 sierpnia — ludność Goa, Daman i Diu rozpoczęła ostateczną bitwę o uwolnienie swego kraju od portugalskich ciemiężców, po trwającej od 450 lat niewoli kolonialnej.

Te kolonie, położone na zachodnim wybrzeżu Indii, są ostatnimi średniowiecznymi bastionami imperium, stworzonego przez piratów portugalskich przy pomocy „krzyża i miecza" w XV i XVI wieku, a utraconego w końcu na rzecz Brytyjczyków, którzy okazali większą przedsiębiorczość i zdolności kupieckie.

Najznaczniejsza jest Goa, o powierzchni 1312 mil kwadratowych (3.370 km kw.), odcięta od Indii zachodnim pasmem gór Ghats. Prowincja ta liczy sześćset tysięcy mieszkańców, z których większość pracuje na terytorium Unii Indyjskiej. W Goa też mieści się siedziba kolonialnych władz portugalskich.

Dystrykt Damanu wraz z dwiema prowincjami Nagar Haveli i Dadra, już oswobodzonymi przez wyzwoleńcze siły Goa, leży na wybrzeżu półwyspu Gujarat. Rozciąga się on na obszarze 134 mil kwadratowych, zamieszkałych przez sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

Dystrykt Diu leży na wysepce o powierzchni czternastu mil kwadratowych, przy południowym cyplu półwyspu Sawrasztra. Do Diu należy też wioska Gogla (jedna mila kwadratowa) w dystrykcie Junagadh, prowincji Sawrasztra. Spośród 16 tysięcy mieszkańców — większość stanowią murarze, cieśle i marynarze. Pierwsze dwa zawody stanowią źródło najemnej siły roboczej kolonistów portugalskich we Wschodniej Afryce (Mozambik). Marynarze z Diu pracują na indyjskich i portugalskich statkach handlowych.

Uprzywilejowana mniejszość narodowa Baniow bogaci się na handlu w Lourenço-Marques i innych miastach portugalskich Afryki Wschodniej, a czasem i w większych miastach indyjskich, jak Bombaj.

Ludność Goa, Damanu i Diu (zwanych oficjalnie „Indiami Portugalskimi") nie ma żadnego współudziału we władzach tych prowincji, panem życia i śmierci jest tu portugalska klika faszystowska. Każde najmniejsze posunięcie miejscowych władz kolonialnych kontroluje Ministerstwo Kolonii w Lizbonie. Indie Portugalskie są klasycznym państwem policyjnym, gdzie panoszą się komisarze policji portugalskiej, wyszkoleni przez berlińskie gestapo. Wolność osobista nie istnieje, a prewencyjna cenzura prasy tłumi każdy głos krytyki.

Gubernator Generalny Indii Portugalskich, któremu podlegają gubernatorowie Damanu i Diu, rządzi przy pomocy ciała doradczego, tzw. Rady Rządowej. Większość członków Rady mianuje gubernator, a niewielki procent radnych „z wyboru" w istocie typowany jest przez faszystowską partię Salazara, Uniao Nacional. Z jej „protegowanych" składają się również rady miejskie.

W Departamencie Sprawiedliwości, podobnie jak zresztą i w innych organach władzy, uderza nieprawdopodobny rozrost biurokracji, szczególnie jaskrawy w zestawieniu z obszarem kraju i liczbą ludności. Jakkolwiek całe Indie Portugalskie zajmują obszar niewiększy niż trzecia część przeciętnego dystryktu indyjskiego, dysponują jednak całą armią urzędników; działa tam również pięciu sędziów trybunału apelacyjnego, prokurator generalny i jego trzech zastępców, trzech sędziów trybunałów miejskich, trzech zastępców prokuratora i szereg asystentów.

Jak w każdym ustroju faszystowskim, sądy są narzędziem dyktatury, a wyroki w procesach politycznych dyktuje policja. Sądownictwo przeżarte jest do szpiku kości łapownictwem, a sędziowie, zarówno portugalscy jak miejscowi, dorobili się fantastycznych fortun i magnackich pałaców. Jest tajemnicą poliszynela w Goa, że „prywatnie" pełnią oni funkcje doradców prawnych międzynarodowych przemytników, którzy obrali sobie Goa jako dogodne pole działania.

Głównym zadaniem reakcyjnego, zacofanego, klerykalnego systemu nauczania — jest utwierdzenie młodych Goańczyków w przekonaniu, że nie są oni Hindusami, lecz Portugalczykami.

W ciągu czterech i pół wieku swego panowania Portugalczycy nie zbudowali w Goa ani jednego zakładu przemysłowego, utrzymując gospodarkę kolonii w stanie jak najgłębszego zacofania. Jedynym przemysłem, jaki tam powstał po ostatniej wojnie światowej, były kopalnie rudy żelaznej, należące do mieszanej spółki goańsko-japońskiej. Cała ruda z Goa szła do fabryk wojennych Stanów Zjednoczonych. W samym tylko 1953 r. rząd portugalski eksportował do USA i do Japonii rudę wartości 55 milionów rupii.

Początki ruchu narodowo-wyzwoleńczego w Goa wywodzą się z 1928 r., kiedy to Tristao Braganza-Cunha wbrew tysiącznym trudnościom założył Komitet Kongresu Goa. Grupa młodych, odważnych robotników przyłączyła się do Cunha, we wsiach Goa rozgorzał płomień ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Komitet Kongresu Goa wchodził w skład Narodowego Kongresu Indyjskiego, lecz po kilku latach odłączył się od niego z powodu trudności technicznych: Goa było kolonią portugalską, a Indie — jeszcze — kolonią brytyjską.

Rząd Salazara nie zwlekając zabrał się do patriotycznych robotników goańskich. Zaczęły się prześladowania, zapełniły więzienia. Komitet Kongresu Goa musiał przenieść się do Bombaju, aby stąd kierować podziemną walką wyzwoleńczą w Goa.

Trzeciego marca 1946 r. Komitet rzucił słynne hasło: „Portugalczycy precz z Goa", a osiemnastego czerwca tegoż roku rozpoczęła się kampania „biernego oporu". Jej celem było wywalczenie swobód obywatelskich. Władze portugalskie odpowiedziały nową, wzmożoną falą represji. Braganza-Cunha wraz z dwunastoma patriotami deportowano do twierdzy Peniche w Portugalii (osiem miesięcy temu, po dramatycznej ucieczce z Lizbony, Braganza-Cunha powrócił do Indii i kieruje teraz Wyzwoleńczymi Siłami Goa).

Więzienia Goa, a szczególnie twierdza w Aguada pełne były więźniów politycznych. Wielu z nich deportowano do twierdzy Rocadas, w malarycznych okolicach Angoli (Portugalska Afryka Zachodnia).

Nastąpiły długie lata walk, w których potężną broń patriotów stanowiły wytrzymałość i inteligencja. Dochodziło w czasie tych lat do gwałtownych starć między wyzwoleńczymi siłami Goa a żołdakami Salazara, przy czym z każdym miesiącem represje faszystów stawały się bardziej okrutne. Celem zmiażdżenia ruchu patriotycznego sprowadzono do Goa oddziały afrykańskie i wojsko z Portugalii, zaopatrzone w nowoczesną broń amerykańską. Rząd Indii zaproponował Salazarowi rozpoczęcie rokowań w sprawie pokojowego rozwiązania sprawy Goa, Daman i Diu, stanowiących nieodłączną część terytorium indyjskiego. Salazar oświadczył wówczas: „Goa jest własnością Portugalii i pozostanie nią na zawsze. Portugalia nie może podjąć żadnych pertraktacji w sprawie przejęcia jej terytorium przez Indie". Po tej fanfaronadzie wzmógł się napływ wojsk i amerykańskich czołgów, karabinów maszynowych, artylerii, min. Pośpiesznie zbudowano pod amerykańskim kierownictwem nowoczesne lotnisko w Dabolim, o cztery mile od przystani w Marmagoa, gdzie stacjonowały dwa kontrtorpedowce, sześć kanonierek i liczne ścigacze.

Kiedy Indie zaprotestowały przeciwko prześladowaniom politycznym, a ruch narodowy w Goa ogłosił decyzję rozpoczęcia ostatecznej kampanii o wyzwolenie Goa drogą pokojową, w dniu 26 kwietnia, w 26 rocznicę portugalskiej dyktatury faszystowskiej Salazar za-

Wzięty do niewoli portugalski oficer policji pokazuje dziennikarzowi hinduskiemu swą broń — produkcji USA

Z lewej — zabarykadowane przez Portugalczyków wejście do posterunku policji w Selvasa. Po prawej —

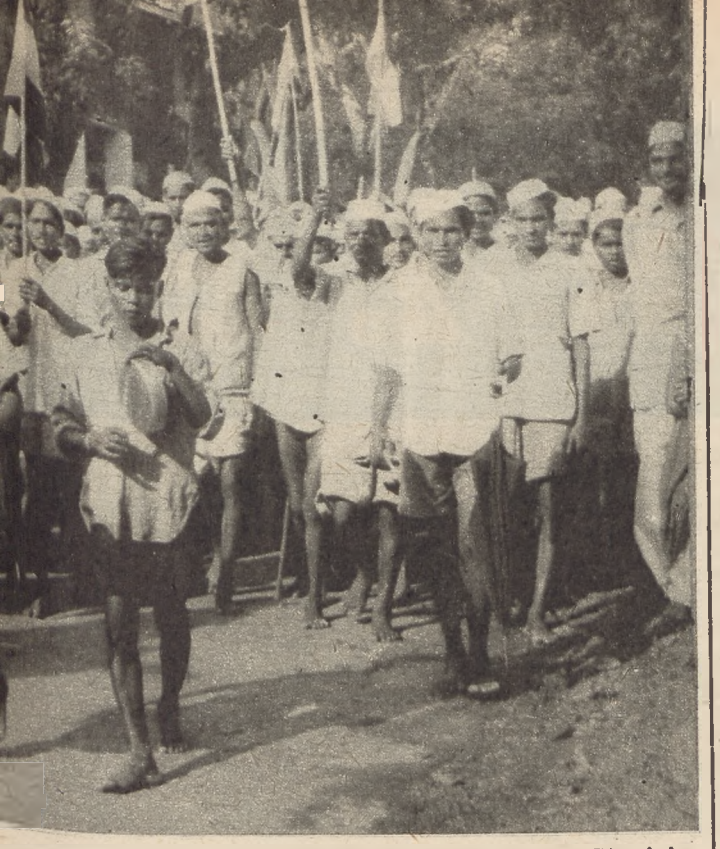

zwolone obszary Selvasa w Nagar Haveli. Stawiający opór policjanci portugalscy zostali rozbrojeni.

groził, że jeśli Portugalczycy zostaną zmuszeni do wycofania się z Goa, zastosują taktykę „spalonej ziemi".

Dyktator oświadczył dosłownie: „Jeżeli Portugalczycy będą musieli ewakuować Goa, zostanie tam tylko wypalona pustynia, w której zniknie ostatni ślad człowieka".

Ruch narodowy w Goa nie uląkł się wyzwania. Patrioci w Goa, mocni poparciem swoich braci w Indiach, zwarli szeregi, przegrupowali siły i zapowiedzieli na dzień piętnasty sierpnia, indyjskie Święto Niepodległości — ostateczny, pokojowy marsz do Goa. Odpowiedź Salazara nie dała na siebie długo czekać; zażądał, aby rząd indyjski wycofał swojego konsula z Goa.

W tym samym czasie nieuzbrojeni ochotnicy ruchu wyzwoleńczego wkroczyli do prowincji Dadra i Nagar Haveli, uwalniając je w ciągu tygodnia. Policja portugalska otworzyła ogień, ale policjantów otoczyli i rozbroili chłopi witający radośnie swoich oswobodzicieli. Sztandar indyjski powiewa dziś dumnie na tych dwóch obszarach, gdzie władzę objęły demokratycznie wybrane Komitety Ludowe.

W Goa, Daman i Diu rozpoczęła się decydująca bitwa. Patrioci Goa zdecydowani są prowadzić walkę wyzwoleńczą bez rozlewu krwi, tak jak ją prowadzili patrioci indyjscy przeciwko Wielkiej Brytanii. Odpowiedzialność za dalsze wydarzenia spadnie całkowicie na Portugalski Korpus Ekspedycyjny, który ogłosił już na tych obszarach stan wojenny, przerzucił swoje oddziały na granicę indyjską, zablokował drogi, podminował mosty i wydał rozkaz natychmiastowego strzelania do nieuzbrojonych ochotników ruchu wyzwoleńczego.

Oddziały partyzanckie, działające w Goa i poza jego granicami, zdecydowane są odeprzeć kolonialistów portugalskich, jeżeli ośmielą się oni zbroczyć ziemie Goa krwią jej patriotów. W tym wypadku walka będzie długa i krwawa, aż do zwycięstwa.

chłopi Warli ze sztandarami przed tymże posterunkiem, opuszczonym już przez policjantów portugalskich.

DLACZEGO *Lord Russel of Liverpool* WYBRAŁ WOLNOŚĆ?

Napisał:
MARIAN PODKOWIŃSKI

W CIENIU sensacyjnej sprawy dr Otto Johna, który zrezygnował ze swego stanowiska prezydenta Urzędu Ochrony Konstytucji w Bonn i udał się do NRD, aby głosić światu prawdę o polityce Adenauera, rozegrała się w tym samym czasie inna, nie mniej sensacyjna sprawa w Londynie. Lord Edward Russel of Liverpool, zastępca najwyższego sędziego armii brytyjskiej, członek Izby Lordów i jeden z wpływowych polityków partii konserwatywnej, na znak protestu przeciwko próbom wstrzymania jego książki o zbrodniach hitlerowskich podał się do dymisji.

Korespondenci zagraniczni, którzy w pierwszych latach po wojnie przebywali w Niemczech i obsługiwali rozmaite procesy przeciwko hitlerowskim zbrodniarzom wojennym, znali dobrze lorda Russela. Pamiętam go i ja z procesów w Norymberdze, Hamburgu i Hannoverze. Jego sylwetka rzucała się w oczy gdziekolwiek się pojawił. Wysoki, tęgi, o lwiej grzywie i wydatnym nosie, wtedy już po pięćdziesiątce, wyróżniał się wśród brytyjskich sędziów i prokuratorów elegancją i dowcipem. Był postrachem hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, których nienawidził. W samej tylko strefie brytyjskiej przeprowadził on wtedy ponad 350 procesów przeciwko 1000 zbrodniarzy hitlerowskich.

Lord Russel poznał na własnej skórze praktyki ludobójców z Wehrmachtu, Waffen-SS i administracji hitlerowskiej. Brał udział w pierwszej wojnie światowej, we Flandrii, gdzie Niemcy po raz pierwszy użyli gazów trujących. W ostatniej wojnie lord Russel walczył we Francji, w korpusie ekspedycyjnym lorda Gorta, i przeżył okropności Dunkierki. Następnie walczył w Afryce Północnej przeciwko Rommlowi. Dlatego też, gdy po wojnie zaproponowano mu stanowisko doradcy prawnego naczelnego dowódcy wojsk brytyjskich w Niemczech, lord Russel — jak powiada — przyjął to stanowisko, aby wymierzać sprawiedliwość hitlerowskim przestępcom wojennym.

Kiedy w Niemczech zachodnich doszedł do władzy Adenauer, nastąpił oczywiście kres procesów przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim. A nawet przeciwnie, na skutek amerykańskiej polityki zbrodniarze ci zaczęli masowo opuszczać więzienia. Lord Russel zrezygnował ze swego stanowiska prawnego doradcy brytyjskiego gubernatora, powrócił do Londynu, gdzie został zastępcą najwyższego sędziego brytyjskiego, lorda kanclerza Simondsa, członka rządu Churchilla.

Remilitaryzacja zachodnich Niemiec i starania, jakie czyniono w Waszyngtonie i w Bonn, aby jak najszybciej zapomniane zostały hitlerowskie zbrodnie, a żołdak boński odzyskał „prawa towarzyskie" wśród innych żołnierzy zachodniej Europy, wywołały wśród wielu burżuazyjnych polityków Wielkiej Brytanii poważne zastrzeżenia. Jednym z tych polityków i wysokich urzędników administracji brytyjskiej był właśnie lord Russel. Napisał on ku przestrodze własnego narodu książkę opartą na dokumentach z procesów przeciwko hitlerowskim zbrodniarzom wojennym pt. „Bicz swastyki" (The Scourge of the Swastika), którą sam nazwał „krótką historią hitlerowskich zbrodni wojennych".

Książka ta ukazała się 19 sierpnia br. w Londynie. Otrzymałem jeden z pierwszych egzemplarzy od jednego z moich angielskich przyjaciół z adnotacją, że stała się ona przedmiotem politycznego skandalu, jakiego jeszcze w historii Anglii nie było.

Cóż zawiera ta książka? Jest po prostu zilustrowanym zdjęciami opisem zbrodni dokonanych przez wojska hitlerowskie w krajach okupowanych. Dla nas Polaków nie są to oczywiście żadne rewelacje. Znamy bowiem te zbrodnie nie tylko ze zdjęć, lecz z tragicznej praktyki. Dla publiczności brytyjskiej — książka ta jest nie tylko wydawniczą sensacją, ale staje się poważnym przeżyciem. Przypomina bowiem nie tylko co oznaczał fakt dojścia Hitlera do władzy, ale co czeka Europę, jeśli hitlerowcy powrócą do rządów w Bonn. Jeśli Adenauer realizować będzie przy ich pomocy swoje plany, które na razie są jeszcze na papierze...

Przed puszczeniem książki na rynek lord Russel przedłożył ją dla porządku do wglądu swemu zwierzchnikowi, lordowi-kanclerzowi Simondsowi. I wtedy wybuchł skandal, który od dwóch tygodni trzyma w napięciu opinię publiczną W. Brytanii. Simonds bowiem napisał do Russela list-ultimatum: nie wydać książki albo zrezygnować ze swojego poważnego stanowiska w rządzie Churchilla. Lord-kanclerz w ten sposób usiłował sterroryzować autora książki o hitlerowskich zbrodniach.

Ale lord Russel okazał się konsekwentnym politykiem. Zrezygnował ze swego stanowiska i książka została w ciągu kilku dni rozchwytana przez publiczność. „Uczciwi ludzie na całym świecie — pisał znany publicysta Gordon Schaffer — a w tym również i wiele milionów Niemców, którzy lękają się powrotu hitlerowców, przyklasną odwadze, jaką wykazał lord Russel, który wolał zrezygnować ze swego wysokiego i intratnego stanowiska aniżeli ze swojej książki o hitlerowskich zbrodniach wojennych".

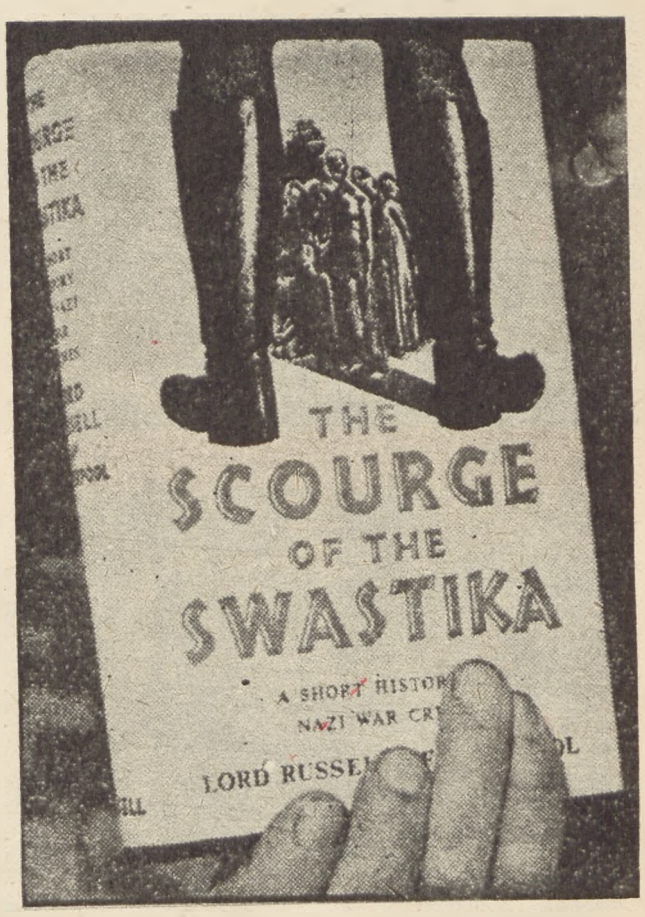

„Bicz swastyki" książka Lorda Russela, która przypomni brytyjskim czytelnikom drobną część niezliczonych zbrodni hitlerowców

Szantaż lorda-kanclerza Simondsa nie udał się. Co więcej, lord Russel wystosował do „Daily Expressu" list otwarty, w którym potępił politykę rządu brytyjskiego, politykę która usiłuje zamazywać wyczyny hitlerowskich władców Trzeciej Rzeszy, aby nie spłoszyć opinii brytyjskiej wobec prób uzbrojenia zachodnich Niemiec. Lord Russel w liście tym, który zatytułował „Oto dlaczego wybrałem wolność", powiada:

„Kiedy książka moja ukaże się na rynku, wielu ludzi po raz pierwszy przeczyta prawdziwe sprawozdanie o tym, co uczynili hitlerowcy. Jeszcze więcej znajdzie się i takich czytelników, którzy czytając moją książkę sami zdziwią się, iż mogli o takich strasznych wydarzeniach w ogóle zapomnieć. Wierzę, iż w interesie światowego pokoju leży, aby tego rodzaju wydarzenia nie były tak łatwo zapomniane. Dlatego też, kiedy przekonałem się, iż moi przyjaciele zapominają nauki płynące z obozów w Belsen i Buchenwaldzie albo zdają się nie wierzyć im zaledwie po upływie kilku lat, zdecydowałem się napisać moją książkę..."

Nawiązując do sprawy lorda-kanclerza Simondsa, który usiłował powstrzymać go od wydania tej niewygodnej dla rządu brytyjskiego książki, Russel pisze: „Lord Simonds powiada, że książka ta daje przeciwnikom remilitaryzacji Niemiec poważny argument do ręki, iż uzbrojone Niemcy wpływać będą na sprawy świata".

I to w kierunku — powiedzmy od siebie — który dobrze jest znany całej Europie, nie wyłączając ludności wysp brytyjskich, która pamięta jeszcze czasy straszliwych nalotów na Londyn i Coventry.

„Jeśli zaczniemy — pisze dalej lord Russel — prześladować prawdę... kto wie, na czym się to skończy? Wszyscy muszą być świadomi tego, podobnie jak ją, że uzbrojenie Niemiec musi pociągnąć za sobą pewne ryzyko. Przed podjęciem przemyślanej decyzji każdy musi wiedzieć, co go czeka. Muszę stwierdzić, iż mój wypadek świadczy o tym, iż zostały podjęte próby, aby ludzi trzymać w niewiedzy o wielu faktach (które zawarte są w książce). Zrozumiałem więc, że osiągnąłem taki punkt, w którym musiałem utrzymać swoją postawę lub zdradzić swoje przekonanie. Oto dlaczego wybrałem wolność".

Lord Russel zrezygnował ze swojego stanowiska. A publiczność brytyjska i wraz z nią cała opinia światowa dowiedziała się, co kryło się za kulisami. Krył się po prostu strach przed tym, jak zareagują ludzie, którym przypomni się, do czego prowadzi remilitaryzacja zachodnich Niemiec. „Bicz swastyki" lorda Russela stał się prawdziwym biczem dla tych, którzy niepomni niedawnej przeszłości znowu pomagają niemieckim militarystom i odwetowcom w odbudowie wojskowej potęgi, owej potęgi, która dwa razy w naszym wieku usiłowała podbić Europę, a jej narody rzucić na kolana.

WRZES

Tego dnia dzieci nie poszły na uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego, a na wieczór nikt się nie umawiał do kina. Dzień był słoneczny i ciepły, ale puste były nadwiślańskie plaże i nie było widać w parkach matek z wózkami. Tego dnia rozkład zajęć w Warszawie zaczęło dyktować hitlerowskie lotnictwo.

Na zaskoczoną i bezbronną Warszawę spadły pierwsze bomby. Na jezdnie sypał się gruz rozprutych do parteru kamienic. W kilka dni później ulicami ciągnęli piechurzy i nędzne chłopskie wózki — resztki rozbitych jednostek. Cywile uciekali z Warszawy i do Warszawy, żołnierze szukali swych oddziałów, dowódców, broni. Nocami nad płonącą stolicą stała luna, po całym mieście snuły się gorzkie dymy.

Tragiczny wrzesień otworzył oczy wielu, wielu oszukanym ludziom. Nieznane jeszcze były szczegóły haniebnej zdrady, popełnianej w ciągu lat przez antynarodowe rządy sanacji. Mało kto wiedział o perfidnych posunięciach „sfinksa z Wierzbowej", pułkownika Becka, w których konsekwencji kraj nasz został osamotniony w przeddzień hitlerowskiej agresji. W poczuciu zupełnej bezbronności i bezsilności, wobec uzbrojonego po zęby wroga, można było jednak dojrzeć, co się kryło za mocarstwowymi hasłami „ani guzika" i „zwarci, gotowi".

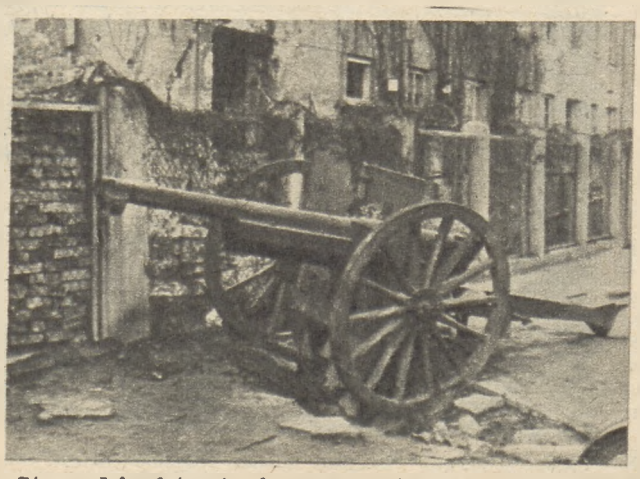

Stara, dziewiętnastowieczna armata — takich musieli używać obrońcy Warszawy. A zenitówki i nowe działa polowe eksportowano za granicę przed samą wojną...

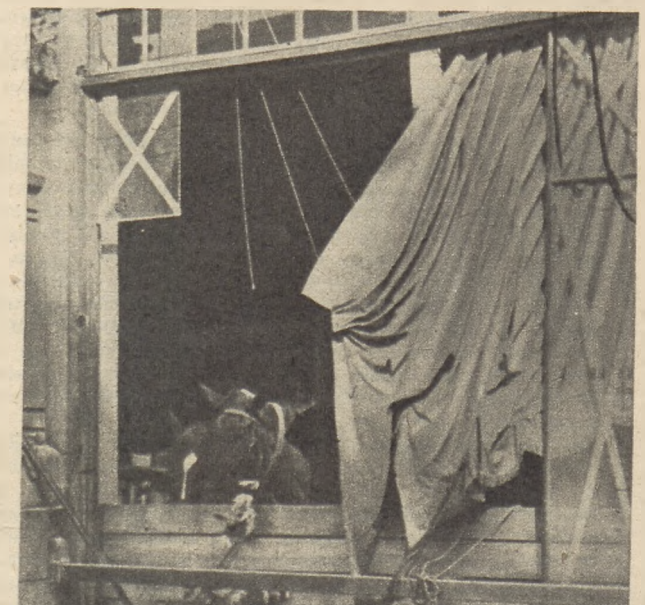

Limuzyny sprzed Resursy są już na zaleszczyckiej szosie... Teraz Krakowskim Przedmieściem ciągną swój skromny dobytek byli mieszkańcy spalonych domów.

Przy ratowaniu ofiar w pierwszych zburzonych domach brała jeszcze udział straż ogniowa. Później nie było komu ratować ludzi z setek walących się budynków.

Do stolicy ciągnęły tabory rozbitych jednostek. Konie ukrywano nawet w zniszczonych lokalach sklepowych — ulice były stale ostrzeliwane przez hitlerowską artylerię.

Mieszkańcom nie przygotowanego do obrony miasta zaczyna głód zaglądać w oczy. Padle na ulicach konie — oto ostatnie źródło zaopatrzenia wygłodniałych ludzi.

Tramwaje już nie kursują — zostały zwalone na barykady. Ale i samochodem niebezpiecznie się poruszać po ostrzeliwanej coraz uporczywiej ulicy Nowy Świat.

Wodociągi miejskie zniszczone, mieszkańcy Warszawy godzinami stoją w kolejkach z wiadrami do nielicznych w mieście studzienek. Nieraz tego rodzaju kolejka stawała się przedmiotem ataku hitlerowskiego pirata powietrznego, który z karabinów maszynowych dosłownie kosił dziesiątki bezbronnych mieszkańców stolicy.

IEŃ

Kiedy lubelska szosa kurzyła się za limuzynami becków i sławojów — jeszcze broniła się stolica. Nie było artylerii przeciwlotniczej, brakło karabinów dla obrońców, brakło żywności i amunicji. Ale przedmieścia najeżyły się barykadami, domy zamieniono w fortece. Komuniści wyłamywali bramy więzień i szli do okopów. Cywile podejmowali broń po zabitych. Żołnierze i mieszkańcy miasta walczyli razem. Linia frontu opasała stolicę.

Trzy tygodnie broniła się pod deszczem pocisków płonąca i skrwawiona Warszawa. Bez światła i wody, bez chleba i lekarstw — miasto walczyło, trwało.

Nierówna to była walka. Na ulicach wyrastały bezimienne mogiły, ludzie ginęli w zasypanych schronach. Naród płacił straszliwą cenę za politykę zdrady swoich władców. I po miesiącu wojny na warszawskich ulicach zadudniły buty hitlerowców...

Spójrzcie na zdjęcia. Nie znamy ich autorów. Znalezione zostały w warszawskich gruzach. Stare, zniszczone niekiedy odbitki przypominają, jak wyglądała zdradzona i oszukana stolica przed piętnastu laty.

Ciężkie, bolesne to wspomnienie. Ale możemy i powinniśmy wspomnieć tę tragiczną rocznicę. Lepiej sobie wtedy uświadomimy, czego dokonaliśmy w ciągu lat ubiegłych i czym dziś jesteśmy. Piąte państwo przemysłowe w Europie, kraj, otoczony przez narody-przyjaciół, kraj, którego przedstawicieli powołuje się do niosących pokój komisji — nie dopuści do nowego września. Dziś z faszystowskimi czołgami walczymy nie na przedmieściach Warszawy, ale jeszcze nim wyjdą z pieców hutniczych Kruppa. Walczymy o pokój nie tylko dla naszego miasta, ale i dla Berlina i Paryża, Moskwy i Londynu. I nie jesteśmy w tej walce osamotnieni: z nami narody Kraju Rad i Chin Ludowych, wszystkie państwa obozu pokoju, miliony uczciwych i świadomych Niemców i cały potężny front pokoju i przyjaznego międzynarodowego współżycia.

Żołnierze i cywile ginęli tak samo — i podobnie chowano ich na ulicach, skwerach, placach... Miasto wyglądało wówczas jak jeden wielki cmentarz.

Hitlerowskie lotnictwo i działa niszczą ulicę za ulicą. Był to przedsmak bezprzykładnych barbarzyństw faszystów popełnianych w Warszawie w pięć lat później...

Co to za ulica — Żelazna, Solec, Franciszkańska, Nowowiejska? Takie same osmalone ruiny zacierały różnice między dzielnicami miasta. Ulicami krążyli ludzie z rozbitych i spalonych domów w poszukiwaniu schronienia. Po niebie szybowały bezkarnie hitlerowskie bombowce, pociski artylerii sięgały do najgłębszych schronów...

Bomby hitlerowskie zniszczyły most kolejowy. Obiekty ważne strategicznie w małym tylko stopniu były przedmiotem ataków lotnictwa. Hitlerowcy bombardując bezbronne miasto już wtedy rozpoczęli planowe niszczenie narodu polskiego.

I oto finał zdradzieckiej polityki sanacyjnych rządów: Marszałkowską defilują oddziały hitlerowskiego Wehrmachtu. Może ten chłopiec w szkolnym mundurku, przyglądający się spode łba faszystowskim żołdakom, za parę lat chwyci za broń?

„NOWI GOSPODARZE MAJĄ GŁOS“

PODSUMOWANIE ANKIETY „ŚWIATA“

OGŁOSZONA przez redakcję „Świata“ wielka ankieta pt. „Nowi gospodarze mają głos“ przyniosła obfity plon. Po odrzuceniu pewnej ilości listów dosyć szablonowych i ogólnikowych, które ograniczyły się do suchych odpowiedzi na podsunięte przez nas pytania, pozostałe wypowiedzi Czytelników „Świata“ były bardzo interesujące, pożyteczne, nieraz nadspodziewanie „fachowe“, rzeczowe i gospodarskie.

WSPÓŁGOSPODARZE

Nie brak było prawdziwych referatów na 8—10 i 12 stron maszynopisu, autorzy poddawali tam drobiazgowej, a nieraz bardzo interesującej analizie układ swego nowego mieszkania, swego osiedla, swego miasta. Objawem niezwykle przyjemnym a powszechnym było zajęcie się przez uczestników ankiety problemami, które pozornie wykraczały poza jej ramy: zwracali oni nieraz uwagę na zaobserwowane marnotrawstwo materiałów budowlanych, na wyrzucanie w błoto pieniędzy państwowych przez brakorobów i niechlujów. Sygnalizowano nam np., że w wielu domach i osiedlach przez wiele miesięcy lokatorzy nie mają liczników elektrycznych, a prąd czerpią z budowy — kto za to będzie płacił, jak wyglądają „koszta własne“ takiego przedsiębiorstwa budowlanego, które pokrywa faktycznie rachunki za elektryczność dziesiątków prywatnych osób? — pytali nasi Czytelnicy. Czyż ten drobny przykład — jeden z wielu — nie jest symptomatyczny? Czyż nie jest on pięknym dowodem, jak wzrosło w naszym społeczeństwie poczucie odpowiedzialności za wszystko, co się dokoła dzieje?

W takich pozornie błahych, drobnych sprawach odbija się także ten ogromny przełom, jaki zaszedł w naszym społeczeństwie, widać w nich tę olbrzymią szkołę społeczną, jaką dla nas wszystkich razem i dla każdego z osobna było dziesięć lat Polski Ludowej, dziesięć lat nauki gospodarzenia własnym krajem.

Nie szczędzą nasi Czytelnicy słów krytyki, nieraz bardzo ostrej krytyki, nie zamykają oczu na błędy, braki i usterki. Ale w olbrzymiej większości wypadków jest to krytyka gospodarska, nie bezpłodne wyrzekania, a krytyka twórcza, konstruktywna. Krytykują zły, bezmyślny układ mieszkania — i zaraz podają własne propozycje, jakby go zmienić na lepsze, jak lepiej „zorganizować“ tę samą powierzchnię mieszkalną. Krytykują architekturę, rozmieszczenie punktów usługowych, dojazdy do domów — i zaraz sami proponują, jakie zmiany chcieliby widzieć w elewacjach domów, jakie punkty usługowe i gdzie należałoby założyć w ich osiedlu, jak lepiej poprowadzić drogi dojazdowe.

A przy tym wszystkim zdają sobie oni sprawę — i we własnych listach z całym naciskiem podkreślają — że są to trudności i braki wywołane ogromnym wzrostem naszego budownictwa, szybkim rozwojem naszej gospodarki, braki wynikające z tego, że budujemy tak jak nigdy w Polsce nie budowano. Uczymy się wszyscy, uczą się nasi inżynierowie, technicy i robotnicy, uczymy się spraw i problemów zupełnie dla nas nowych — a czyż można w takiej sytuacji uniknąć błędów?

Nasza ankieta przyniosła dużo rzeczowego, krytycznego materiału. Część jego już została wykorzystana przez czynniki najbardziej zainteresowane — np. wszystkie odpowiedzi z Nowej Huty były szczegółowo przeanalizowane przez specjalnie tam powołaną komisję, w skład której weszli przedstawiciele DRN, budowy miasta, projektanci i inżynierowie.

W liście owej komisji, która była na terenie Nowej Huty współorganizatorem naszej ankiety, czytamy m. in.:

„Z wyników ankiety jesteśmy bardzo zadowoleni... przesłaliśmy je m. in. do Centralnego Zarządu ZOR, do KW PZPR, Dzieln. Rady Narodowej, Miastoprojektu Kraków i in. Publikowane były one również w tutejszej „Gazecie Krakowskiej“ i w piśmie zakładowym „Biuletyn Technika“. Również z satysfakcją informujemy, że w wyniku ankiety został wydany przez Dyrekcję Budowy Miasta Nowa Huta szereg istotnych zarządzeń wewnętrznych i w stosunku do Miastoprojektu. Między innymi na skutek wspomnianych zarządzeń przejrzane zostały projekty wszystkich obiektów będących w budowie i wprowadzono w nich zmiany w kierunku polepszenia rozplanowania mieszkań. Będziemy jako Koło PZITB w dalszym ciągu czynić starania, aby w jak największej mierze zrealizować słuszne postulaty uczestników ankiety...“

Niesposób oczywiście wyliczyć w omówieniu wszystkie sprawy, jakie poruszyli nasi Czytelnicy. Zajmiemy się tu najważniejszymi i najbardziej typowymi — wiele bowiem pytań, życzeń czy słów krytyki obracało się dokoła tych samych spraw.

ŚCIANA I MEBEL

Uczestnicy ankiety obszernie na ogół odpowiadali na punkt 1 — „Rozplanowanie mojego mieszkania“. Najczęściej spotykaliśmy zarzut „nieustawności“ pokoi czy mieszkań. Niektórzy Czytelnicy, jak np. ob. Martyniec z Częstochowy, zadali sobie trud szczegółowej analizy rozmiarów pokoju czy kuchni i udowadniali wcale przekonywająco, że przy pomocy drobnych stosunkowo zmian w projekcie można było znacznie lepiej wykorzystać powierzchnię mieszkalną, a zwłaszcza powierzchnię ścian, przy których ustawiamy meble.

Jako najczęściej spotykane „grzechy“ wymieniano: umieszczanie drzwi pośrodku dużej ściany i rozbicie jej w ten sposób na dwie części, z których żadna nie pomieści szafy; umieszczanie grzejników w podobny sposób, nieprzemyślane instalowanie liczników elektrycznych lub gazomierzy na ścianie, która by nadawała się do ustawienia dużego mebla. Czasem pozorny drobiazg — np. gniazdko do wtyczki elektrycznej lub kontakt ulokowany pośrodku dużej powierzchni dokładnie ją „unieszkodliwia“ — trudno odsuwać szafę dla zapalenia światła.

Stąd gorący apel do naszych projektantów — pamiętajcie o tym, że o ustawności mieszkania decyduje nie tylko jego powierzchnia, ale także płaszczyzna ścian.

Bardzo często nowi gospodarze skarżą się na to, że różnego rodzaju przedpokoje, korytarzyki itd. okradają ich z należnej im powierzchni. Szereg Czytelników dowodzi w swych listach, że można było w ich mieszkaniach wykorzystać część „powierzchni korytarzykowej“ na powiększenie izby mieszkalnej.

Często powtarzającym się błędem — oczywistym i kardynalnym błędem, na który z całym naciskiem zwracamy uwagę architektów, jest lokalizowanie kuchni od południowej strony. Prosimy w takiej kuchni ugotować obiad w gorący dzień, zwłaszcza jeżeli pod kuchnią palimy węglem. Jedna z gospodyń domowych, ob. M. z MDM-u, zapytuje, czy troska o człowieka nie obejmuje żon (!) A poza żonami są jeszcze spiżarki, które też nie czują się najlepiej w słonecznej kąpieli. Przypomina o tym m. in. ob. Jan Baka, majster budowlany z Nowej Huty.

Interesujący projekt, na pewno wart zastanowienia, wysuwa w swoim liście inż. Eugeniusz Kruk. Na konkretnym przykładzie dwuizbowego mieszkania (pokój z kuchnią) dowodzi on, że można by w tego typu mieszkaniach projektować kuchnię jako drugą niewielką izbę z wydzieloną niszą kuchenną. Zainstalowanie przegrody lub zwykłej zasłony zamieniałoby w godzinach popołudniowych kuchnię na izbę użytkową. Warto jego propozycję przeanalizować.

Ob. Wiesława Norek apeluje do projektantów, żeby ustalając rozmiary pokojów, zwłaszcza najmniejszych, uwzględniali przeciętne wymiary takich mebli, jak tapczan, szafa itd. Czasem zabraknie 10 cm szerokości, które można by doskonale ująć z długości pokoju. Apel bardzo słuszny, należałoby go połączyć z wezwaniem pod adresem przemysłu meblarskiego o ustalenie znormalizowanych wymiarów najważniejszych, seryjnych mebli.

BRAKOROBOM POD ROZWAGĘ

Czytając odpowiedzi na punkt 2: „Najważniejsze usterki i braki“ nasłuchaliśmy się sporo gorzkich słów i ostrej krytyki. Przekazujemy ją wszelkiego rodzaju brakorobom, niechlujom, marnotrawcom i partaczom. A także komisjom nadzoru i komisjom odbierającym budynki. Najwyższy czas, żeby postanowienia Partii i Rządu o walce z budowlanym brakoróbstwem stały się dla tych komisji żelaznym prawem.

Najpospolitsze, aż zbyt dobrze znane usterki, to pacząće się okna i drzwi, wypadające futryny, framugi okienne ze szparami na kilka palców, partackie tynki, krzywe podłogi, złe izolacje powodujące zacieki. W kilkunastu (!!) listach mieszkańcy nowych mieszkań skarżą się na piece „Jawor“, które dymią, gasną, prychają, kopcą — tylko nie grzeją. Piece „Jawor“ zdobyły smutną sławę w całej Polsce, po ostrej krytyce prasowej i kontroli wytwórni zapowiedziano radykalną poprawę. Zobaczymy. I sprawdzimy.

Paczenie się okien, spowodowane stolarką z mokrego drzewa, powoduje ogromne straty ciepła, na co słusznie zwracają uwagę nasi Czytelnicy. Dlatego warto zastosować projekt wysunięty aż przez trzech uczestników ankiety — aby zaopatrzyć okna w dwa zamknięcia u dołu i u góry, a nie w jedno pośrodku, jak to się dziś robi. Okno będzie szczelniejsze, drzewo zsychając się nie będzie się paczyło. Mała rzecz, a pożyteczna.

O skandalicznych niedbalstwach donosi nam Czytelniczka (nazwisko znane redakcji) z warszawskiego osiedla Ochota. Cytujemy: „Od chwili przekazania bloków wszystkie rezerwuary są zepsute. Woda przelewa się przez sedesy, zalewa mieszkania... zbiorniki fabryka wykonała wadliwie, ZBM-5 przyjęło je jednak i zainstalowało. Kiedyś te rezerwuary trzeba będzie wymieniać... Koszta robocizny, zmarnowany czas — aż się w głowie kręci. To są sumy, które dzięki brakorobom idą prosto w błoto...“

Ta sama Czytelniczka donosi o zupełnie szczególnym wypadku „brakoróbstwa projektowego“: pawlacz — bardzo pożyteczne urządzenie, o które zresztą prosi wielu mieszkańców — umieszczono u niej w... pokoju mieszkalnym. Proponujemy umieścić na pawlaczu projektanta — na kilka dni o chlebie i wodzie.

Wielu naszych Czytelników, z prawdziwie gospodarskim zmysłem, zwraca uwagę i na takie usterki czy błędy, które nie dotyczą ich bezpośrednio, ale przyczyniają szkody naszej gospodarce. Ob. Kamieńska Krystyna z Nowej Huty — osiedle B2 pisze: „Izolację rurociągów centralnego ogrzewania zdalaczynnego nieprawidłowo wykonano (w zimie ponad rurociągami śnieg tajał i ziemia była zupełnie sucha)...“ Ta sama Czytelniczka i wiele innych zwracają uwagę na nagminne marnotrawstwo czasu i materiałów, jakie pociąga za sobą brak koordynacji robót instalacyjnych. Znana to już historia — przychodzą elektrycy, rozkopują, instalują, zagrzebują. Po dwóch dniach przychodzą telefoniści — powtarza się to samo. A potem gazownicy albo ci od kanalizacji. A może by tak nałożyć wreszcie kary pieniężne na odpowiedzialne przedsiębiorstwa — to czasem najlepszy środek na taką radosną twórczość. Naszych Czytelników słusznie gniewa takie marnotrawstwo publicznych pieniędzy.

MONOTONIA, MONOTONIA

Sporo ciekawych uwag nadesłano nam na temat architektury i urbanistyki nowych osiedli. Wielu Czytelników zastrzega się zresztą, że trudno dziś o ostateczny sąd czy opinię, bowiem ich osiedle czy dzielnica nie jest ostatecznie uporządkowana, domy nie otynkowane, zieleń dopiero na planie. A przecież mieszkają oni w nowych domach już nieraz od dwóch, trzech lat. To jest też znamienny sygnał. Sprawa ostatecznego wykończenia i zagospodarowania nowych osiedli domaga się szybkiego i radykalnego rozwiązania, dojrzała już ostatecznie. Ministerstwo Budownictwa Miast i Osiedli, ZOR i Ministerstwo Gospodarki Komunalnej muszą wspólnie tą sprawą się zająć, i to zaraz. Nie uporządkowane i nie wykończone osiedla szpecą nasze miasta, nie otynkowane domy powodują ogromne straty ciepła, brak dojazdów i dróg odbija się na samochodach i transporcie, błoto, brudy, rozgrzebane śmietniki są źródłami smrodu i chorób. Wiele tu pomoże, zapoczątkowana w Warszawie z już widocznymi wynikami, tak zwana akcja PM — porządkowania miast. Trzeba ją rozwinąć i upowszechnić.

Wielu Czytelników skarży się na monotonię, na „koszarowość“ architektury nowych domów. Są jednak pocieszające głosy, wskazujące, że idziemy ku lepszemu, że nowe bloki, nowe części osiedli są projektowane staranniej, z większą dbałością o indywidualny wyraz plastyczny, o urozmaicenie dla oka, o detal. Przed architektami naszymi stoi poważny problem: mieszkańcy naszych miast chcą i mają najświętsze prawo żądać

Dokończenie na str. 23

Do nowych mieszkań w nowych osiedlach wprowadzają się nowi gospodarze. Ich krytyczne uwagi, ich wnioski i uwagi stanowią cenne wskazówki dla projektantów.

Niedobrze się dzieje w oblęgorskim pałacu: dachy przeciekają, mury niszczeją, na ścianach — grzyb...

Sprawę ufundowania muzeum uzgodniono z rodziną pisarza. Na fot. Henryk Sienkiewicz-syn z żoną i córką.

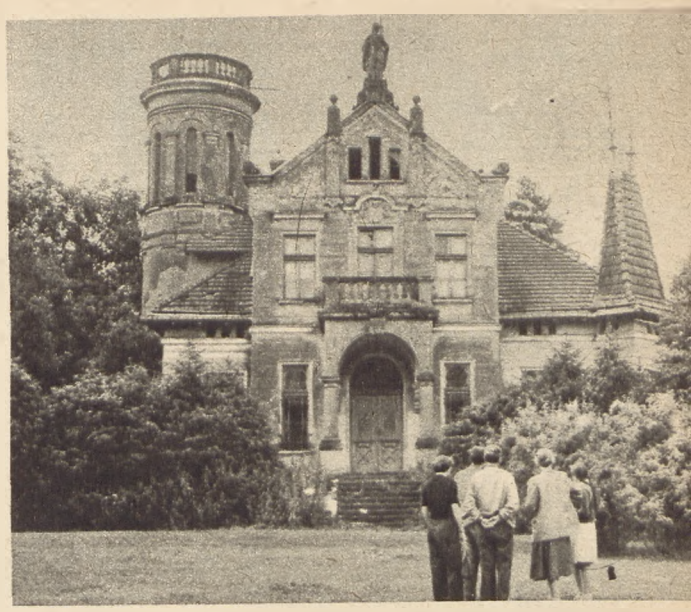

W Oblęgorku powstanie Muzeum Sienkiewiczowskie, wzorowane na radzieckich muzeach biograficznych.

TAM GDZIE POWSTAŁO „W PUSTYNI I W PUSZCZY"

Napisał: MARIAN BRANDYS

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

NA OSIEMNASTYM kilometrze od Kielc — zagubiona wśród świętokrzyskich lasów i podkieleckich bezdroży — leży niewielka posiadłość ziemska, której dziwaczna i trudna do zapamiętania nazwa Oblęgorek wiąże się trwale z imieniem wielkiego pisarza polskiego Henryka Sienkiewicza. Oblęgorek — niegdyś najzwyklejszy majątek szlachecki — awansował do godności Oblęgorka sienkiewiczowskiego mniej więcej przed pół wiekiem. Stało się to dokładnie w roku 1900, kiedy w całej Polsce święcono uroczyście dwudziestopięciolecie pracy twórczej autora „Trylogii" i „Krzyżaków". Czytelnicy i wielbiciele książek sienkiewiczowskich uczcili jubileusz ulubionego pisarza wspaniałym i niezwykłym darem. Ze składek niezliczonych ofiarodawców, których same podpisy wypełniły aż cztery grube księgi, zakupiono pięknie położony majątek ziemski i oszpecono go bardzo brzydkim pałacem w stylu owej bezstylowej epoki. Tak wyposażony Oblęgorek ofiarowano na własność Henrykowi Sienkiewiczowi.

Nawiasem mówiąc, piękny ten dar nie uniknął piętna przysłowiowego polskiego bałaganu. Wskutek niedopatrzenia czy też złej gospodarki administratorów funduszu jubileuszowego, Oblęgorek dostał się Sienkiewiczowi z poważnym obciążeniem hipotecznym, które spadkobiercy obdarowanego spłacać musieli przez wiele, wiele lat. Sam Sienkiewicz zareagował na dług hipoteczny z prawdziwie sienkiewiczowskim humorem. „Czyż mogło być inaczej? — powiedział — Czyż polski majątek ziemski mógłby istnieć bez obciążenia hipotecznego?"

Przez następne czternaście lat — od jubileuszu do wybuchu pierwszej wojny światowej — podkielecki Oblęgorek był ulubionym i stałym miejscem wczasów letnich wielkiego pisarza. Każdego lata zjeżdżał Sienkiewicz starożytną landarą z Kielc do Oblęgorka i tu spędzał wakacje. W Oblęgorku przyjmował odwiedziny najwybitniejszych przedstawicieli ówczesnego świata kulturalnego, do Oblęgorka Gebethner przysyłał mu korekty „Potopu" i „Pana Wołodyjowskiego", w Oblęgorku rozpoczynał lub wykańczał pisanie wielu książek, które dzisiaj są własnością milionów czytelników na całym świecie.

W czasie tych kilkunastu lat szlachecki Oblęgorek suto porósł w tradycje sienkiewiczowskie. Brzydki pałac oblęgorski wypełnił się darami, nadsyłanymi przez czytelników ze wszystkich stron kraju. Na półkach bibliotecznych stanęły rzędem egzemplarze autorskie obcojęzycznych przekładów dzieł sienkiewiczowskich, a niewielkie biurko, na którym powstały niektóre rozdziały „W pustyni i w puszczy" oraz dwie sławne nowele, stało się ogólnonarodową relikwią kulturalną. Wspomnienia sienkiewiczowskie nasyciły sobą wszystkie kąty ziemiańskiego Oblęgorka, nadając temu miejscu charakter naturalnego muzeum-pomnika.

Ale po śmierci Henryka Sienkiewicza i w czasie międzywojennego dwudziestolecia nie uczyniono nic, aby to naturalne siedlisko tradycji sienkiewiczowskich przekształcić w rzeczywiste muzeum biograficzne wielkiego pisarza. Myśl stworzenia muzeum sienkiewiczowskiego powstała dopiero ostatnio. Jak mnie poinformowano w czasie mego niedawnego pobytu w Oblęgorku, realizacja tej pięknej idei znajduje się na jak najlepszej drodze. Decyzja ufundowania muzeum została już ostatecznie uzgodniona między oficjalnymi czynnikami kulturalnymi a obecnymi właścicielami Oblęgorka: Henrykiem Sienkiewiczem-synem i córką wielkiego pisarza — Jadwigą Korniłłowiczową. Organizacja muzeum w Oblęgorku będzie wzorowana na sławnych muzeach biograficznych w Związku Radzieckim, jak tołstojowska Jasna Polana i czechowowski dom-muzeum w Jałcie. Pozostałe po Sienkiewiczu pamiątki posłużą do zrekonstruowania jego pokojów w ich dawnej postaci. Inne pokoje pałacu oblęgorskiego zostaną przeznaczone na pracownie dla historyków literatury i monografów, interesujących się specjalnie twórczością Sienkiewicza oraz na mieszkanie dla najbliższej rodziny pisarza.

Wydaje mi się, że nikomu nie trzeba specjalnie tłumaczyć, jak cennym wkładem do kultury polskiej będzie powstanie muzeum sienkiewiczowskiego i jak bardzo całemu społeczeństwu winno zależeć na najszybszym zrealizowaniu tej inicjatywy.

Niestety, przekonałem się w Oblęgorku na własne oczy, że sama techniczna realizacja projektu rozwija się w tempie żółwim, z ogromną szkodą dla materialnej substancji przyszłego muzeum. Pałac oblęgorski, w wyniku zniszczeń wojennych i wielokrotnego wypuszczania w dzierżawę, znajduje się w stanie opłakanym. Dachy w nim przeciekają, na ścianach pleni się grzyb, meble sienkiewiczowskie niszczeją. Nie trzeba być fachowcem, aby móc stwierdzić, że jeżeli natychmiast, jeszcze przed końcem lata, nie podejmie się środków zaradczych, to szkody mogą być nieobliczalne i trudne do naprawienia.

Pragnę o tym stanie rzeczy poinformować kompetentne czynniki kulturalne. Nie może przecież tak być, aby wskutek kilkumiesięcznej zwłoki, wynikającej z zahamowań biurokratycznych, niszczało dzieło kulturalne, którego trwanie obliczone jest na lata.

Kiedy za kilka lat najmłodsza prawnuczka Henryka Sienkiewicza nauczy się czytać i pozna dzieła swego sławnego pradziadka — muzeum będzie już chyba gotowe.

PIĘĆ PRZED DWUNASTĄ

Napisał: MIROSŁAW AZEMBSKI

W 500-ną ROCZNICĘ WYZWOLENIA GDAŃSKA 2)

Wytyczna, jaką Hitler przekazał Forsterowi, brzmiała: „Pozwólmy, aby Gdańsk pozostał miejscem zaognienia, a któregoś dnia znajdzie się przyczyna przedsięwzięcia pewnych posunięć...“ Forster realizował ją skutecznie.

NIE TRUDNO mi będzie nawiązać do poprzedniego artykułu, gdzie była mowa o sprawkach krzyżackich w Gdańsku. Wystarczy, że przypomnę, co powiedział Albert Forster, pierwszy (i na szczęście ostatni) gauleiter gdańskiego NSDAP. W roku 1940, kiedy nie musiał już owijać słów w bawełnę, wzniósł do góry zrabowany na Wawelu sztandar Zakonu i rzekł: „My Niemcy, narodowi socjaliści, będziemy się teraz uważali za Krzyżaków XX stulecia; cały wschód, bez reszty, musi być niemiecki“. Szczere to było powiedzonko i bardzo wymowne. Dla większej jasności dodać trzeba tylko, że takim poglądom hołdował Forster nie od roku 1940, ale od lat znacznie wcześniejszych, o czym świadczy cała międzywojenna historia Gdańska.

SKROMNE POCZĄTKI...

24 października 1930 roku na dworcu kolejowym w Gdańsku grupa ponurych osobników obserwowała wysiadających z berlińskiego pociągu; oczekiwała przybycia gauleitera. Działo się to świtem, miasto spało jeszcze, nieświadome wagi tej chwili. Wolne Miasto Gdańsk, powołane do życia przez Traktat Wersalski, śniło być może o latach prosperity, jakie miały przyjść pod wysokim patronatem Ligi Narodów... Konstytucja Wolnego Miasta gwarantowała tak Polakom jak i Niemcom gdańskim równouprawnienie i szereg innych wolności obywatelskich. Polsce wprawdzie Gdańska nie zwrócono, ale przyznano jej dodatkowe przywileje — opiekę nad komunikacją, komorą celną, pocztą i tak dalej.

28-letni dryblas w tyrolskich spodenkach miał wkrótce zmienić ten stan rzeczy. Podszedł do zgromadzonych na peronie osobników i przedstawił się: Albert Forster, gauleiter NSDAP na miasto Gdańsk, specjalny wysłannik Fuehrera do spraw hitleryzacji. Tego samego wieczora udowodnił skłóconym między sobą i głupawym gdańskim hitlerowcom, że Fuehrer wiedział co robi powierzając mu rolę bakcyla, który miał na tym terenie zaszczepić nazistowską zarazę. W jakiejś szopie wygłosił Forster czterogodzinne przemówienie, po czym wyniesiony został na rękach przez rozentuzjazmowanych słuchaczy. Wytłumaczył bowiem swemu audytorium, że hasło „zurueck zum Reich“, to „krzyk serca każdego gdańskiego Niemca“; nic przy tym nie szkodziło, że sam ujrzał to miasto po raz pierwszy w życiu. Zacytował także słowa Hitlera, stanowiące wytyczną działania: „Pozwólmy, aby Gdańsk pozostał miejscem zaognienia, a któregoś dnia znajdzie się przyczyna przedsięwzięcia pewnych posunięć...“

Ulice zaroiły się od mundurów SA... Bojówki stały się niebawem prawdziwym postrachem Gdańska.

Gdańsk już w następnych tygodniach odczuł obecność Forstera, tego „rdzennego Gdańszczanina“, z Bawarii rodem. Miejscowe NSDAP, dotychczas zakonspirowane i liczące co najwyżej 200 członków, poczęło rozrastać się gwałtownie i coraz śmielej podnosić głowę. Spokojne uliczki Gdańska, Wrzeszcza i Sopotu czegoś takiego jeszcze nie oglądały: zaroiło się wszędy od mundurów (SA, SS, HJ), od pałek i kastetów, poleciały pierwsze szyby w sklepach żydowskich i polskich. Pod hasłem „wytępienia socjalistów i Żydów“ przystąpił Forster do ataku na cały front antyfaszystowski. Od rana do wieczora trwały przemarsze bojówek, bębnienia, zawodzenia na piszczałkach. Parady i pochody zostawiały zawsze za sobą krwawy ślad: kto bowiem przed maszerującym oddziałem nie podniósł ręki na „heil“, tego zbito, pokopano, poraniono — obojętne, czy był to Polak, czy brzuchaty niemiecki mieszczuch „do polityki się nie mieszający“.

Takie to były „skromne początki“ działalności Forstera i jego „chłopców“.

DZIAŁANIA „DYNAMICZNE“

Biegły lata, gdańskie NSDAP dalej porastało w piórka. Skąd brało tylu chętnych do „mokrej roboty“? Niezły żołd wypłacało swoim bojówkarzom... Z drugiej strony awantury i mordobicia nie powodowały jakoś żadnych konsekwencji: Wysoki Komisarz Ligi Narodów siedział spokojnie w swojej willi i nie zabierał głosu, milczał także Komisarz Generalny R.P. Garnęły się więc gdańsko-niemieckie męty pod znak swastyki.

Zachęcony milczeniem „czynników“ Forster przystępuje do dzieła już poważniejszego: do kampanii wyborczej i ostatecznej rozprawy z „opozycją“. Oba te zadania pojmuje w sposób sobie właściwy. Wybory wygrywa bez trudu; wprawdzie dziwnym przypadkiem oddano wtedy więcej głosów, niż było uprawnionych do głosowania — ale to nieważne! Protestów było niewiele, bo kto zabierał głos, ten dostawał przez okno postrzał śrutem, w jego mieszkaniu wybuchała butelka z karbidem albo po prostu napadali go „nieznani sprawcy“.

Z przeciwnikami politycznymi na razie postępował Forster dosyć elegancko. Spotkanemu na ulicy „opozycjoniście“ powiedział co najwyżej: „Ty świnio, pierwszy będziesz wisiał“ (zdarzyło się to przed sopockim kurhausem mecenasowi Weisowi, przywódcy niemieckich narodowych demokratów). Ale na tym koniec; na prawdziwe zaś czyny przyszedł czas dopiero później i to, rzecz prosta, nie w stosunku do narodowych demokratów, którzy i tak byli dostatecznie przerażeni. Właściwy atak przypuściło NSDAP przeciwko

Konstytucja gdańska gwarantowała Polsce nadzór

działaczom lewicy, a w szczególności członkom KPP i KPD, współdziałającym ze sobą ściśle i nieugięcie występującym do walki z hitleryzacją Gdańska.

Główną siłę uderzeniową NSDAP stanowiła... policja gdańska. Przekształciła się ona bowiem niepostrzeżenie w najczystszej próby gestapo. Kierownictwo nad nią objął niejaki pan Lelgam, który przybył z Królewca i zamieszkał w hotelu „Kontinental", w spisie gości figurując jako komiwojażer. Niebawem zastąpił go Gretzner, już oficjalny wysłannik berlińskiego gestapo. Policja rozporządzała znakomitymi „sposobami na komunistów": umiejętnie podrzuconym podczas rewizji rewolwerem, wpakowaną w cudzą kieszeń ulotką albo „aresztem ochronnym" — instytucją nader łatwą w użyciu, albowiem w swoim czasie przewidziano ją dla umysłowo chorych, których można było izolować bez nakazu aresztowania. „Umysłowo chorym" stawał się odtąd każdy przeciwnik hitleryzmu. Na znak doktora Schimmera, senatora do spraw wewnętrznych, policja wkraczała od czasu do czasu na salę sejmową i uprowadzała stamtąd posłów komunistycznych.

Apetyt rósł w miarę jedzenia. Hitlerowcy postanowili przejść do działań bardziej „dynamicznych" i szukali tylko pretekstu, jakiejś „podkładki". Szczęśliwy przypadek w osobie członka SA Günthera Deskowskiego przyszedł im z pomocą. Dzielny SA-man od dawna dręczony był syfilisem i pewnego dnia dostał na ulicy udaru serca na tle swojej choroby. Wezwany lekarz doktor Klug stwierdził zgon, a bojówkarze Forstera podyktowali mu, jak powinien brzmieć protokół zejścia: Deskowski został zamordowany przez antyfaszystów. W uroczystym pogrzebie wziął udział cały hitlerowski Gdańsk, sypały się wieńce i słowa bezbrzeżnego żalu za niezłomnym bohaterem, który padł na posterunku... Na jego prochy zaprzysiężono zemstę. Miała ta zemsta charakter bardzo ogólny — dotyczyła bowiem całej „opozycji". Jak to wyglądało w praktyce? Oto mała próbka...

W Oliwie mieszkał człowiek bardzo dla hitlerowców niewygodny, poseł socjaldemokratyczny Alfred Wichmann. Zmarłego bandziora nie widział, rzecz prosta, nigdy w życiu Przed willę w Oliwie zajechało pewnego dnia auto. Wychodzącego do pracy Wichmanna obezwładnili gestapowcy Burhardt i Kurtn, wepchnęli do samochodu i wywieźli w nieznanym kierunku. W chwili, gdy ciało zastrzelonego posła spoczęło na dnie kanału gdańskiego, opinia publiczna dowiedziała się, że wyjechał on do Hiszpanii i przystał do czerwonych. Po śmierci napisał jeszcze list do przywódcy narodowych demokratów, Brilla; w ślad za listem zjawiła się u adresata policja i aresztowała go, jako podejrzanego o spisek. W ten sposób nawet zmarli przyczyniali się do „oczyszczania" terenu.

„NIC PODOBNEGO SIĘ NIE DZIEJE"

W Gdańsku „oczyszczonym z opozycji" rozwija NSDAP szeroką działalność antypolską. Polacy tracą pracę, dzieci ich nie mogą uczyć się po polsku, w sądach z reguły przegrywają wszystkie procesy, przed sklepami polskich kupców pikietują SA-mani, za wypowiedziane na ulicy polskie słowo można dostać po twarzy. Specjalnie wyszkolone „Stosstruppen" napadają na polskie domy; bandyci nie noszą mundurów, wobec czego mieszkańcy nazywają ich „Räuberziwil".

Zbliża się upragniona chwila „zurueck zum Reich".

Do portu gdańskiego zaczęły zawijać hitlerowskie okręty wojenne. Marynarzy okrętu „Schlesien" witali demonstracyjnie miejscowi naziści. 25 sierpnia, pięć minut przed dwunastą, przybył pancernik „Schlezwig-Holstein"...

Gdańsk niepojętym sposobem zwiększa stan liczebny swej ludności. Na ulicach grupy „gdańszczan" pytają o drogę w saksońskim czy bawarskim narzeczu. Ci sami „gdańszczanie" — gdy znajdą się na terenie jakiejkolwiek placówki NSDAP, wyciągają wizytówkę z oddartym rogiem. Miejscowy gestapowiec wyjmuje z portfela brakujący róg, przykłada do wizytówki — pasuje. Witaj „genosse", życzymy ci powodzenia w szpiegostwie i w szkoleniu naszej „heimwehry"!

Ciemną nocą do basenów w stoczni „Schichau" przybijają barki. Polscy celnicy chcą zbadać towar, ale jest to ostatnia czynność w ich życiu: padają znienacka ciosy nożem i kastetem, milczący ludzie przenoszą z barek na brzeg skrzynie z bronią, z mundurami, z amunicją. Ciemną nocą płyną do Gdańska konie i ludzie, niektórzy w pełnych uniformach Wehrmachtu. Heimwehra ćwiczy zapamiętale po lasach pod kierunkiem importowanych hitlerowskich oficerów. Dzień „powrotu do Rzeszy" zbliża się milowymi krokami.

A co na to Wysoki Komisarz Ligi Narodów? Jednym z najbardziej szczerych Komisarzy jest Włoch, hrabia Gravina. Ten nie kryje swoich sympatii: przyjmuje w swojej willi Forstera i sam mu składa wizyty, mimo iż cały dyplomatyczny światek Gdańska uważa tego energicznego Bawarczyka za „prywatnego bandytę", a nie za osobistość oficjalną. Kolejny Wysoki Komisarz — Lester — nie może pogodzić się ze stanem rzeczy w Gdańsku, wyraża żal, że nie rozporządza wojskiem, i rezygnuje ze swego stanowiska. Ostatni Komisarz — Burghardt jest tak całą sytuacją przerażony, że nawet nie otwiera ust — nie chce mieć do czynienia z Forsterem czy też z Greiserem, który na posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie krytykom stosunków gdańskich po prostu pokazał język.

Prześladowani Polacy próbują szukać ratunku u swoich władz. Nie jest to jednak sprawa łatwa: sanacja zawarła przecież z Hitlerem pakt o nieagresji. Prasa polska w Gdańsku ani słówkiem nie wspomina o dziejących się skandalach, a Komisarz Generalny R. P. tuszuje wszystkie sprawy, jak tylko potrafi najlepiej.

Widząc, że nic nie wskórają na miejscu, jeździli Polacy skarżyć się do Warszawy. Udał się na przykład na konferencję z ministrem Beckiem działacz Polonii gdańskiej Bronisław Budzyński. Szeroko i długo mówił ministrowi o zbrodniach hitlerowców, o bezczelnej inspiracji, o jawnych zbrojeniach. Niestety — wspomina Budzyński — „minister Beck zaprzeczył i oświadczył, że my, Polacy gdańscy, mylimy się, że jest to przesadą i że nic podobnego się nie dzieje..."

PORTRET „ASA WYWIADU"

A „dwójka", osławiona sanacyjna „dwójka"? Przecież na pozór działała ona po to, aby wiedzieć, co się w Gdańsku dzieje naprawdę, aby w porę powiadomić Warszawę o niebezpieczeństwie zagrażającym ze strony hitleryzmu. Roi się w Wolnym Mieście od „dwójkarzy", jedzą, piją, grają w sopockim kasynie (z którego notabene dochód szedł na akcję antypolską). Przewodzi im słynny as wywiadu polskiego major Żychoń, on chyba może coś zdziałać!

Tu nie od rzeczy będzie przytoczyć zeznania świadka Tadeusza Nowińskiego, złożone na procesie Adama Doboszyńskiego:

„Major Żychoń ma wywiad płytki. Kanał najważniejszy, który ma bardzo blisko Bydgoszczy, jest to kanał przede wszystkim Gdańska. W Gdańsku wszystkie te sprawy — jakby powiedzieć — zakwitają i przekwitają... Major Żychoń nie chowa pod korcem swoich sukcesów, lecz rozgłasza je wszędzie, nie tylko w Polsce, ale i na terytorium Gdańska podczas swego tam pobytu. Działa całkowicie niekonspiracyjnie. Osobiście jeździ do Gdańska, bywa po lokalach, pije, bawi się, awanturuje się, bije niemal policjantów, każe grać „Jeszcze Polska nie zginęła" pod Polizeipraesidium, chodzi w mundurze — i nikt go w ogóle nie rusza. Major Żychoń ma poza tym kochankę, niejaką Lottę, z którą się spotyka w swoim mieszkaniu konspiracyjnym, które jest obstawione przez policję i agentów niemieckich. W tym samym lokalu odbywa spotkanie ze swymi tajnymi agentami. Mało tego, wiedząc, że istnieje podsłuch, telefonuje, kiedy tylko ma okazję, do Gdańska do swoich agentów, do swoich oficerów wywiadu, rozmawiając z nimi zupełnie swobodnie.

Jak reagują Niemcy? Niemcy nie tylko nie likwidują tego, zdawałoby się, wielkiego asa wywiadu polskiego, lecz, na odwrót, patrzą na to wszystko i jednocześnie stwarzają mu ze swej strony reklamę.

Wydaje się dwie książki: „Das ist Polen" i „Spionage". W tych dwóch książkach znajduje się właśnie opis sukcesów majora Żychonia, gdzie jest on przedstawiony jako wybitny as wywiadu polskiego. To samo ma miejsce w prasie gdańskiej. Opisywane są, oficjalnie niby z pianą na ustach, jego wyczyny przy porywaniu agentów niemieckich z Gdańska. Major Żychoń porwał w ten sposób z terenu Gdańska niejakiego Wicherka i niejakiego Rzeszotkowskiego, co zostało roztrąbione w prasie gdańskiej i polskim sztabie generalnym, i mjr Żychon uzyskał w ten sposób duży rozgłos".

Cóż to wszystko ma znaczyć? Głupota, nieudolność? Niestety. Tadeusz Nowiński dał jasno do zrozumienia, że mjr Żychoń był w istocie asem wywiadu.. Hitlera.

I teraz nie powinien nikogo dziwić fakt, że gdy olbrzymi pancernik hitlerowski „Schlezwig-Holstein" 25 sierpnia 1939 roku rzucił kotwicę w basenie portowym i skierował swoje działa na Westerplatte — „dwójka" tego drobnego zdarzenia w ogóle nie zauważyła. Przyszli o tym powiadomić Komisarza Generalnego marynarze ze Stacji Pilotów, pocztowcy, kolejarze — ci wszyscy prości polscy gdańszczanie, którzy za kilka dni mieli położyć głowy w obronie swojego zdradzonego miasta.

Dalszy ciąg nastąpi

nad pocztą. Prowokacyjne niszczenie polskich skrzynek pocztowych było na porządku dziennym.

Policja gdańska przekształciła się w gestapo: wystąpiła już oficjalnie pod hitlerowską banderą...

PIĘĆ TYSIĘCY POMYSŁÓW

Zdjęcia: K. JAROCHOWSKI

Pierwszy pawilon mamy poza sobą. Do zwiedzenia pozostały jeszcze dziesiątki innych. Obejrzeć 5 tysięcy eksponatów, zwiedzić 20-hektarowy teren Wystawy — na to nie wystarczy kilku godzin. Wystawa jest wielką szkołą nowej techniki. Można tu poznać wiele zagadnień, wiele można się nauczyć. A więc w drogę.

WROCŁAWSKĄ Wystawę Wynalazczości i Postępu Technicznego ktoś trafnie nazwał przewodnikiem po Polsce. Rzeczywiście — w wielu wypadkach znaliśmy dotąd tylko nazwy: „Dwory", „Starołęka", „Pafawag", „ZISPO". Setki tysięcy zwiedzających poznają na Wystawie istotną treść tych nazw. Pięcioma tysiącami eksponatów Wystawa prowadzi nas przez Polskę — kraj nowy — Polskę huty im. Lenina, Kędzierzyna i Żerania, zapoznaje z nową geografią gospodarczą naszej ojczyzny.

Zwiedzającym nieodstępnie towarzyszą dwa wrażenia: zdumienie i podziw. Zdumienie — wobec tak ogromnej różnicy pomiędzy tym, co było, a tym, co jest, podziw — dla ogromu osiągnięć, dla imponujących wyników. 10 zaledwie lat pracy.

Patrząc np. na rzędy wozów różnych typów i marek — „Starów", „Lublinów", „Warszaw", których dzienna produkcja sięga dziś wielu setek sztuk, warto przypomnieć sobie, że w okresie przedwojennym na pojęcie „motoryzacji" mieliśmy pokrycie 300 samochodów montowanych rocznie.

A chemia? Od czasów, gdy importowaliśmy antygrypowe pastylki „Bayera", przeszliśmy na własną produkcję chloromycetyny, hydrazyny, syntetycznej benzyny, różnego rodzaju nawozów sztucznych.

Przed wojną na dwóch zelektryfikowanych liniach kolejowych z Warszawy do Żyrardowa i z Warszawy do Otwocka kursowały wyłącznie pociągi importowane z zagranicy. Na Wrocławskiej Wystawie Pafawag prezentuje nam pierwszy całkowicie w kraju wykonany pociąg elektryczny, tzw. „trójczłon", i pierwszy w kraju wyprodukowany elektryczny parowóz. Z Warszawy do Łodzi, do Błonia, Koluszek, Mińska Maz. i Otwocka, z Gdańska do Gdyni niedługo już będziemy jeździć własnymi elektrycznymi wozami.

Podziw ogarnia, gdy zamiast prymitywnych narzędzi i maszyn wytwarzanych przez dawne fabryczki, widzi się nowoczesne ciągniki, już nie tylko „Ursusy", ale i nowe, gąsienicowe, produkowane według wzorów radzieckich traktory „KD-35", czy młocarnie-olbrzymy lub nowoczesne koparki, wyorywacze, kultywatory.

15-krotny wzrost produkcji w porównaniu z okresem przedwojennym prezentuje przemysł obrabiarkowy m. in. w postaci 65-tonowej karuzelówki, wysokosprawnej, półautomatycznej rewolwerówki, dziesiątków innych precyzyjnych najnowocześniejszych maszyn, urządzeń, nie mówiąc już o nowoczesnych maszynach włókienniczych czy nowych typach aparatów radiowych.

I tak wymieniać i porównywać można by jeszcze bardzo długo, bo tyle razy, ile jest eksponatów, tyle razy, ile jest rodzajów przemysłów, tyle razy, ile jest rodzajów produkcji. Robiąc jednak te porównania nie zapominajmy, że porównywane wielkości, cyfry i fakty okresu przedwojennego z wynikami 10-lecia naszej pracy w Ludowej Polsce dzielą lata minionej wojny, dzielą ruiny, zgliszcza i kompletna dewastacja całej naszej gospodarki.

Właśnie z kraju ruin, kompletnej dewastacji rozpoczął się nasz start do pierwszego etapu bitwy o nową technikę, do wyścigu o piąte miejsce w Europie. I bitwę tę wygraliśmy, wygrywamy ją co dnia.

Tę nową Polskę — kraj traktorów, elektryczności i stali poznają setki tysięcy ludzi, którzy zwiedzili i zwiedzają Wystawę. Zapoznając ich z dotychczasowym dorobkiem Wrocławska Wystawa wskazuje równocześnie kierunek dalszej walki o unowocześnienie techniki, która jeszcze lepiej ma służyć ludziom, jeszcze pełniej zaspokajać ich potrzeby, wydatniej wzmacniać siłę i zamożność naszego narodu.

J. W.

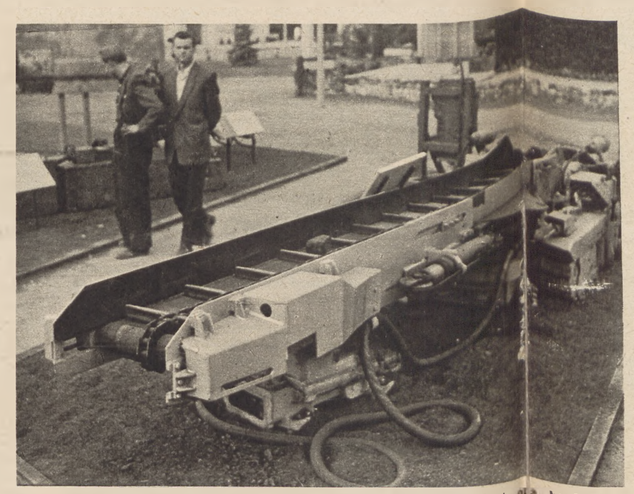

Ta nowa ładowarka to prawdziwy skarb dla naszych górników. Jest ona bardzo „zachłanna" — 120 ton węgla załadować na godzinę to dla niej fraszka. Zbudowana została na podstawie dokumentacji radzieckiej. Z taką maszyną łatwiej wykonać cykl na dobę.

Za chwilę rozpocznie się pokaz nowego elektrycznego pistoletu do metalizacji natryskowej. Dotąd używano mniej ekonomicznych — gazowych. Nowy pistolet to jeden tylko z 210 tysięcy pomysłów racjonalizatorskich i usprawnień zgłoszonych w 1953 roku.

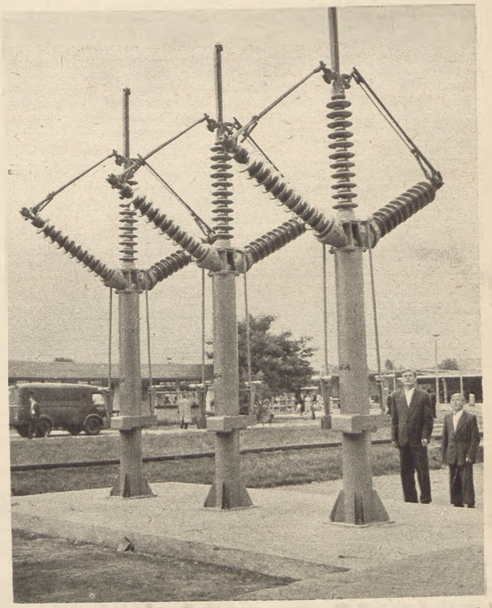

Przy tych potężnych wyłącznikach człowiek wydaje się taki malutki. Ale nie zatrzymujmy się tu zbyt długo. Pawilon energetyki kryje w sobie wiele innych godnych szczegółowego poznania eksponatów.

Nareszcie można go zobaczyć, dokładnie obejrzeć — ba, nawet dotknąć. „Junak" — nasza nowa 350-tka prezentuje się wspaniale. Już niedługo będziemy produkowali motocykle „Junaki" seryjnie.

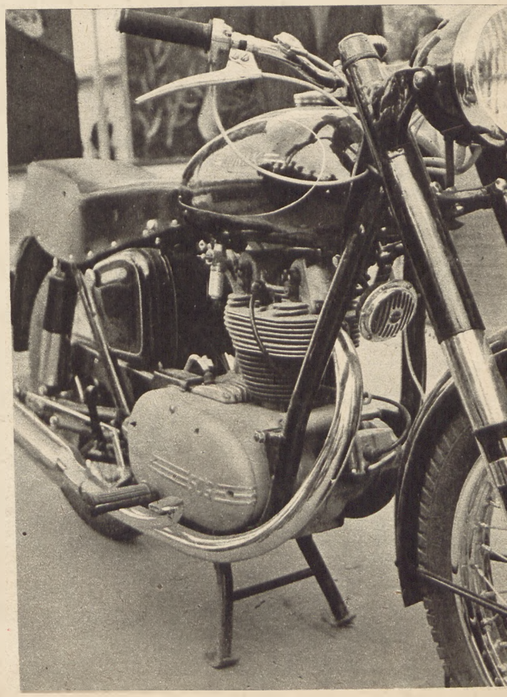

Który ładniejszy? Czy ten z lewej — stary poczciwy „Ursus", czy ten z prawej, nowy „KD-35", pierwszy polski ciągnik gąsienicowy? Na płaskich terenach, lekkich glebach — tam wszędzie pójdzie „Ursus". Pracuje ich już na naszych polach 25 tysięcy. Ale na zboczach górskich, na glebach ciężkich potrzebne są już ciągniki gąsienicowe. Do walki o wyższe urodzaje, o ulżenie pracy rolnikom — obok „Ursusów" staną wkrótce nowoczesne ciągniki „KD-35".

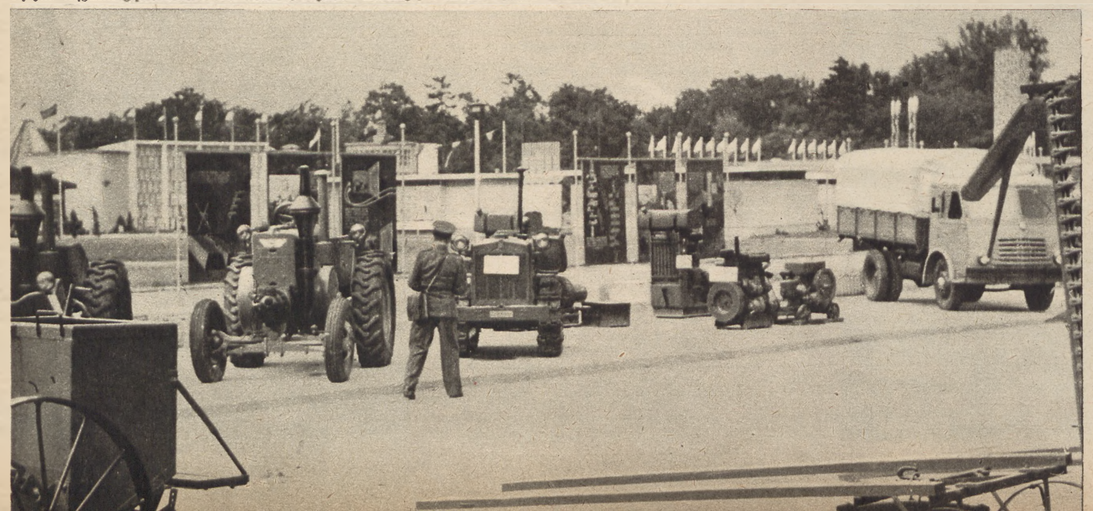

Wystarczy tylko ten potężny kocioł napełnić parą, a lokomotywa ruszy. Maszynista nie ma kłopotu z rozpalaniem i utrzymywaniem ognia w palenisku. Pomysł prosty, a jakie poważne oszczędności węgla. Taka lokomotywa pracuje już w Warszawskiej Elektrowni.

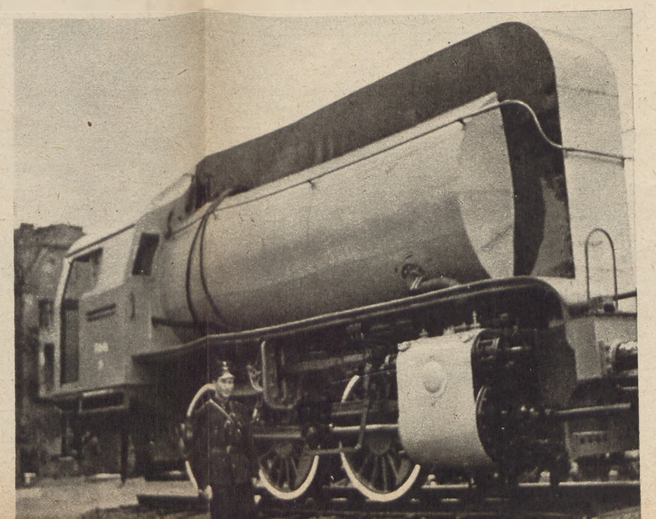

Nasze nowe skafandry mają specjalne urządzenia grzejne. Pracujący w takim „ubranku" nurek nie będzie już marzł pod wodą.

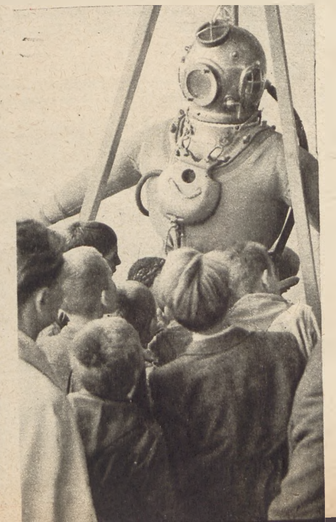

A W NIEDZIELĘ *pokręcimy*

W każdą letnią niedzielę miłośnicy sportu kolarskiego mogą „pokręcić" do woli na rowerowych wycieczkach turystycznych, organizowanych przez PTTK pod kierownictwem przodowników Kolarskiej Odznaki Turystycznej (KOT). W tym sezonie frekwencja jest olbrzymia. Z samej tylko Warszawy — dotychczas 12 tysięcy osób skorzystało z tej wesołej i przyjemnej imprezy.

Chcesz zdobyć Kolarską Odznakę Turystyczną? W ciągu jednego sezonu możesz uzyskać odznakę brązową. Musisz po prostu wziąć udział w 10 wycieczkach. Aby „zapracować" na srebrną odznakę, trzeba mieć za sobą 35, a na złotą — 65 wycieczek. A każda wycieczka — to nie tylko kolejny punkt do odznaki, ale przede wszystkim przyjemnie spędzona niedziela, dużo śmiechu, zabawy, no i... zaprawa sportowa.

Fot.: K. JAROCHOWSKI

Zapowiada się śliczna pogoda. Słońce na razie nie przypieka zbyt mocno, a pustymi jeszcze ulicami doskonale się jedzie. Każdy z nich zabrał małą torebkę, a w niej coś

Ile to się człowiek namęczy nim zdobędzie Kolarską Odznakę Turystyczną... Mostki, rowy itp. są stałym repertuarem trasy. Po gładkim asfalcie jedzie się łatwiej.

W niedzielę o 7 rano spotkali się na Rynku Starego Miasta. Jest wcześnie jeszcze, nie wszyscy przyjechali. Poczekamy na nich, a potem kierunek — Piaseczno

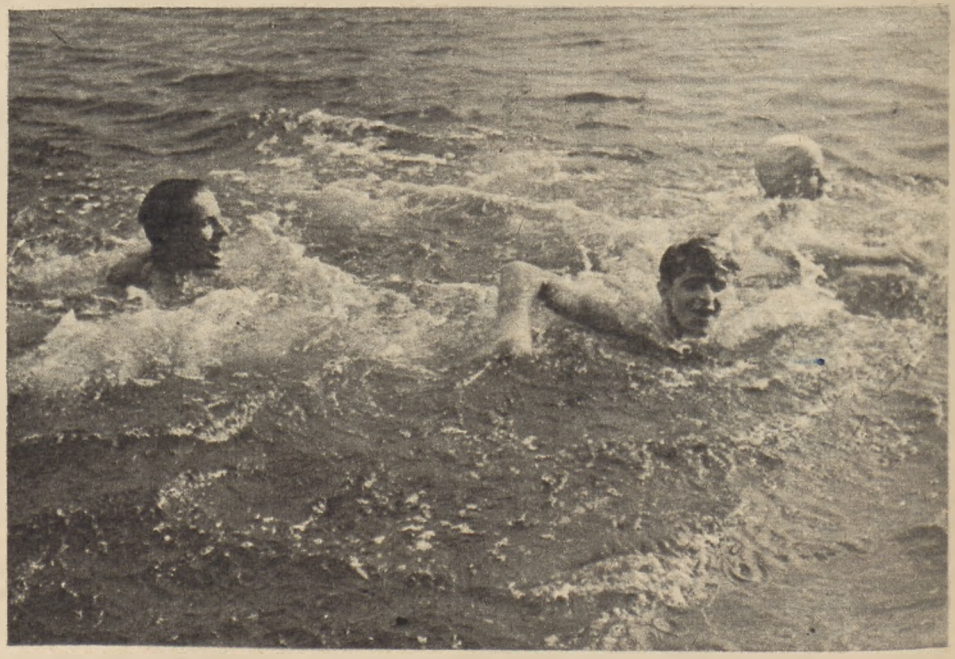

„Wykręciliśmy" już przeszło 30 km. Co prawda daleko nam do tempa Wilczewskiego. Ale — nareszcie świetna okazja! Kostiumy kąpielowe nie leżą już bezużytecznie!

Tu was znaleźliśmy! Pewnie pojechaliście krótszą drogą, a teraz będziecie się naturalnie chwalić, że to tylko kwestia treningu i wzmożonego tempa! Tak się nie robi...

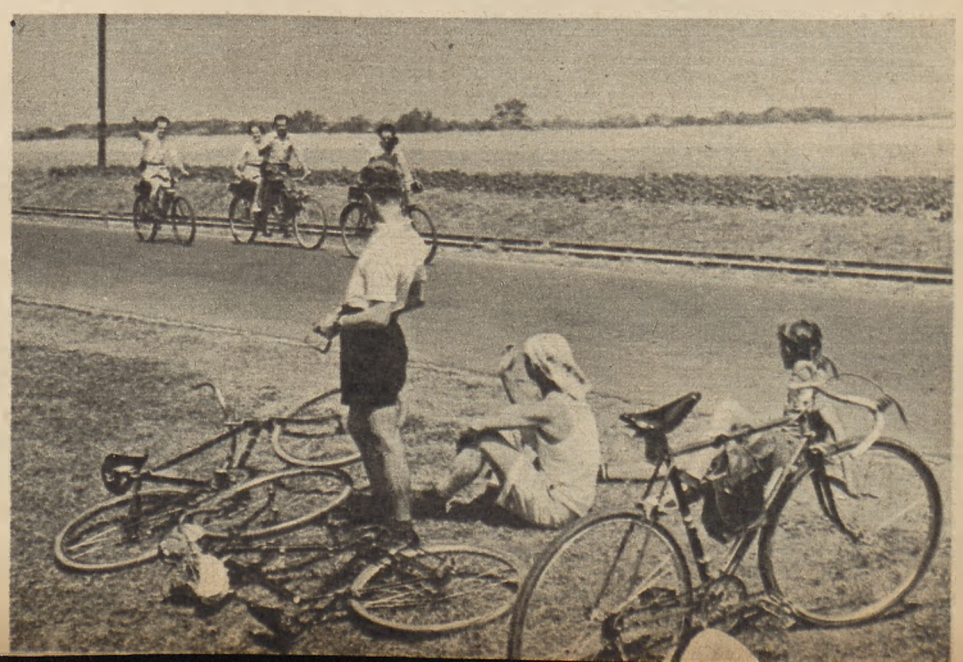

do zjedzenia, no i naturalnie kostium kąpielowy. Może nadarzy się okazja do pływania i opalania się..

Przejechali już Piaseczno. Co to? Czyżby zrezygnowali z dalszej jazdy? Nie, to tylko mały odpoczynek

Ich dwoje, rower jeden. Czy wygodnie? Jedno jest pewne — ta para musi jechać w idealnej zgodzie.

BARBAKANY EUROPY

Napisał:
M. ZACHARSKI

SŁOWO WARSZAWA prawie natychmiast kojarzymy z obrazem Starego Miasta, MDM czy Marienszlatu. Gdy mówimy Kraków, myślimy o Nowej Hucie, Wawelu, krakowskiej „Gwardii" i jej ostatnim meczu. Görlitz przypomina nam historyczny akt podpisania umowy między zaprzyjaźnionymi państwami i masyw Peterskirche jakby przekraczający zieloną Nysę. Carcassonne natomiast jest dla wielu słowem bez pokrycia — zbyt odległe jest od naszej Ojczyzny, a już całkiem trudno dociec, iłu obywateli polskich nosi palta uszyte ze znanego we Francji sukna karkasońskiego. Jednakże wszystkie wspomniane miasta, bliskie nam i dalekie, łączy posiadanie budowli wojskowych z okresu feudalnego średniowiecza — czterech w Europie barbakanów czyli rondli, jak je zwali współcześnie w Polsce. Dwa z nich: krakowski i görlitzki dochowały się do naszych dni w stanie prawie nieskażonym. Dwa pozostałe: karkasoński i warszawski zostały zrekonstruowane na starych fundamentach.

Spróbujmy przewędrować te cztery różne miasta feudalnego średniowiecza.

* * *

Najstarsze — przed ćwierćwieczem obchodziło swoje dwutysiąclecie — to starożytne Carcassonne w południowej Francji, zwane „puklerzem" przez Celtów, którzy założyli w nim zbrojownię. Miasto niszczone przez Gotów i Wandalów, zdobywane przez Rzymian i Wizygotów, zostało wreszcie we wczesnym średniowieczu w posiadaniu tych ostatnich, i ci ufortyfikowali je. Fortyfikacje Carcassonne narastały w ciągu całych wieków, a te, które pozostały w stanie niezmienionym do dzisiaj, pochodzą przeważnie z XIII wieku.

Wewnętrzny mur umocnień tego miasta ma 1.100 metrów, a zewnętrzny 1.500 m. Ów potężny bastion zachował do naszych dni aż 53 wieże i dwie bramy. Właśnie w pobliżu jednej z nich, tzw. bramy Narbońskiej znajduje się pokaźnych rozmiarów rondel, budowla posępna w swej surowości.

Za podwójnymi murami o grubości 2,5 do 4 metrów znajduje się, w tym autentycznym mieście średniowiecznym, obronny zamek. Tego właśnie zamku strzegł od południowej, najbardziej atakowanej przez nieprzyjaciół strony karkasoński barbakan.

* * *

Zupełnie innego charakteru są mury obronne Zhorjelca-Goreliz, późniejszego Görlitz. Ów średniowieczny gród nad Nysą zmieniał wielokrotnie gospodarzy, co wyraźnie daje się odczuć zarówno w architekturze budowli miejskich, jak też i wojskowych.

Wczesnośredniowieczne Görlitz leżało w północno-wschodniej części dzisiejszego i okolone było pojedynczym murem z bramami: nyską, mikołajską i bracką. Z czasem, gdy miasto okazało się za szczupłe, zbudowano (po przyłączeniu podmiejskich posiadłości klasztornych) nowe mury, które w wielu miejscach wchłonęły stare. Na miejscu wieży brackiej powstała w końcu XV wieku wieża dzierżoniowska, a w pobliżu niej görlitzki barbakan. Mieszkańcy Görlitz zwą tę okrągłą budowlę, przypominającą nieco rondel krakowski; „alte Bastei", w odróżnieniu od „neue Bastei" — wieży dzierżoniowskiej. Specjaliści od szpecenia zabytków, burżuazyjni architekci niemieccy „ozdobili" stary bastion arkadowym portalem w im tylko wiadomym stylu. Natomiast dobrze zachowana wieża dzierżoniowska uchodzi za najpiękniejszy obiekt budownictwa średniowiecznego w tej części Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

* * *

Przyjrzyjmy się z kolei fortyfikacjom średniowiecznej Warszawy, wzniesionym w XIV wieku, w okresie rządów feudała mazowieckiego, księcia Janusza Starszego.

Mury obronne otaczały przede wszystkim zamek. Część tych murów jeszcze w ubiegłym stuleciu stała na Placu Zamkowym i znana jest z obrazów Vogla. Od wieży zwanej „Żórawiem" mury szły ku basztom „Nowomiejskim", wśród których znajdował się warszawski barbakan z prowadzącym doń mostem. Konstrukcja warszawskiego barbakanu jest nader ciekawa. Szyja zbudowana na dwóch przęsłach gotyckiego mostu łączy półokrągłą basztę z bramą Nowomiejską. Na filarach mostu wzniesione są baszty. Wysokość murów barbakanu od dna fosy wynosi ok. 11 metrów.

Najbardziej okazała część murów wraz z barbakanem zrekonstruowana została obecnie według relacji pochodzących ze starych dokumentów, ilustracji i sztychów oraz niesłychanie cennego dokumentu, jakim jest mapa Puffendorfa z 1655 r. Mapa ta informuje, że linia obwarowań średniowiecznej Warszawy nie uległa żadnej zmianie w ciągu trzech stuleci i pozostała taka sama aż do wojen szwedzkich. — Taką ją musiał widzieć pan Zagłoba walczący z małpami w chwili szturmu na warszawskie mury.

* * *

Podobnie jak Carcassonne, Warszawa i Görlitz musiał wyglądać i średniowieczny Kraków, z masą spiętrzonych domów, murami i basztami, których jeszcze według XVIII-wiecznego planu było 45. Do grodu prowadziło osiem bram. Jedna z nich — broniona w czasie wojen przez kuśnierzy — zwana bramą Floriańską, zachowała się do dziś wraz z dwiema basztami: ciesielską i pasamoników. Dobrze zachowany, autentyczny odcinek murów i wspomniane baszty cechowe są wiernym dokumentem dawnych fortyfikacji tego grodu oraz sposobu obrony murów. Baszty tkwiły w nim co 80 kroków. Dolne ich partie służyły za skład broni, górne zaś wyposażone były w tzw. machikuły — specjalne otwory do lania smoły i rzucania kamieni.

Barbakan krakowski jest niewątpliwie najwspanialszym zabytkiem tego typu budowli w Europie. Zbudowany w latach 1496—1500, a więc w tym samym czasie co görlitzki, przewyższa go, tak jak i wszystkie pozostałe tego typu budowle — imponującymi rozmiarami, pięknem i harmonią architektoniczną.

Tak się złożyło, że na cztery istniejące w Europie barbakany aż dwa zdobią nasze piękne miasta, a trzeci wznosi się o kilkaset kroków od granic naszej Ojczyzny.

Wieża dzierżoniowska w Görlitz z częścią tzw. „alte Bastei". (Zdjęcie autora).

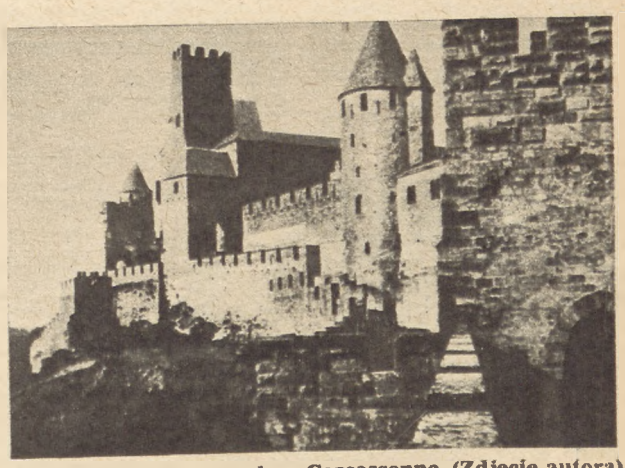

Część murów obronnych w Carcassonne. (Zdjęcie autora)

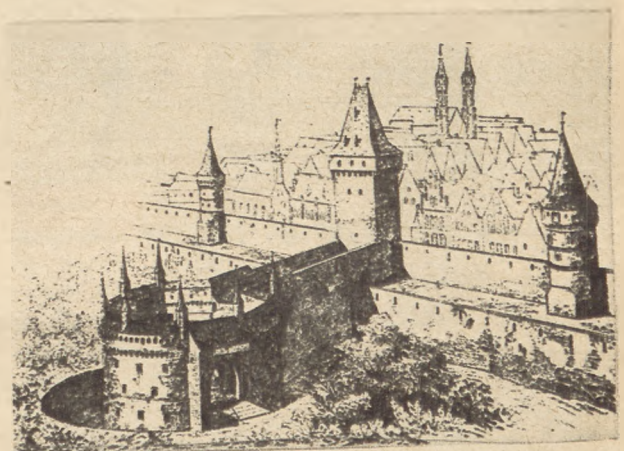

Barbakan krakowski. (Reprodukcja Essenweina).

Odbudowana część Barbakanu warszawskiego.

Panorama murów Starej Warszawy od baszty Marszałkowskiej do Barbakanu. Studium inż. W. Podlewskiego.

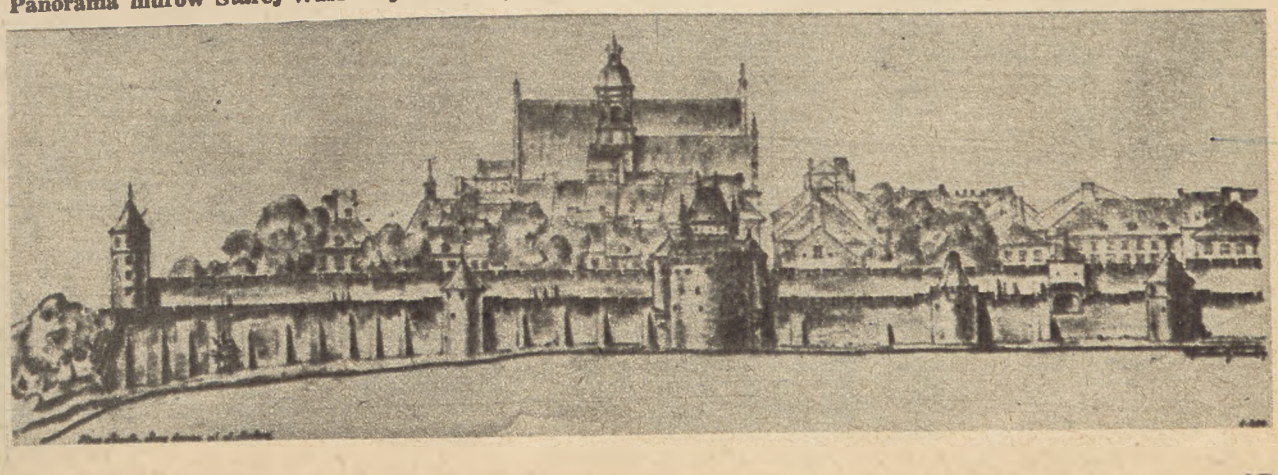

FOTO KORESPONDENCI DONOSZĄ

PIERWSZE ZBOŻE — PAŃSTWU

Niezbyt pięknie spisał się w roku ubiegłym powiat gnieźnieński w dostawie zboża dla Państwa. A i w lipcu tego roku nie miał się również czym pochwalić. Aż w sierpniu...

Ze wszystkich gmin powiatu codziennie do punktów skupu napływają zbiorowe dostawy zboża. W akcji tej prym wiedzie gmina Gruczno, która już trzykrotnie zorganizowała zbiorowe transporty.

Najpiękniejsza manifestacja odbyła się 6 sierpnia. Przeszło 3000 kwintali ziarna na pięknie przystrojonych wozach przywieźli chłopi z kilkudziesięciu gromad gminy Gruczno. Chłopów witali dobrzy znajomi i przyjaciele — robotnicy z fabryk gnieźnieńskich, którzy niejeden już raz pomagali im przy żniwach czy omłotach. Występy artystycznych zespołów kolejarzy z Gniezna umilały czas przybyłym ze zbożem chłopom.

Wielu chłopów z gromady Gruczno wypełniło w tym dniu swój roczny plan dostawy zboża.

M. Rafiński, Gniezno

URATOWANE OD ZAGŁADY

„Uwaga! Wstęp na teren budynku grozi utratą życia! Dom zagrożony". Tabliczki z takimi napisami często można było oglądać przed paru laty na wielu kamienicach w Wałbrzychu. Duże budynki stały opuszczone i nie zamieszkane, zniszczone przez rabunkową gospodarkę hitlerowską w przemyśle węglowym. Wybranych chodników nie zabezpieczano, co powodowało osadzanie się ziemi i wstrząsy na nawierzchni, a w rezultacie pękanie murów i osłabienie budynków.

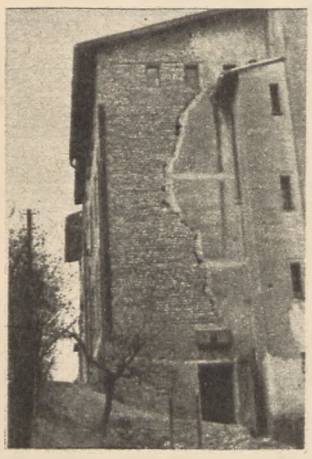

W roku 1952 rozpoczęto pierwsze próby zabezpieczania tych budynków metodą tzw. ankrowania, polegającą na wzmocnieniu obiektu stalowymi prętami. Próby powiodły się i już w następnym roku odremontowano w Wałbrzychu ponad 300 izb mieszkalnych w takich domach. W tym roku mieszkańcy Wałbrzycha i powiatu uzyskują znowu ponad 600 izb w domach uratowanych od zagłady.

Dawne tabliczki z ostrzegawczym napisem znikły już z wielu domów i niebawem zostaną starte ostatnie ślady hitlerowskiej gospodarki.

Zb. Fin, Wałbrzych
Fot. Samecki

ZNALAZŁO SIĘ WYJŚCIE

Gromada Popowice, położona nad Popradem pod Starym Sączem, do niedawna nękana była przez tę górską rzekę. W czasie roztopów wiosennych, a nawet po każdym ulewnym deszczu woda w Popradzie gwałtownie przybierała, zrywała mosty i kładki i odcinała mieszkańców gromady od reszty świata. Mosty drewniane nie wytrzymywały naporu wody, a betonowego nie opłacało się budować, gdyż Popowice leżą na uboczu większych arterii komunikacyjnych.

Ale inżynierowie Zacharski i Pawłowski znaleźli rozwiązanie. Nad Popradem trzeba przerzucić most wiszący i oprzeć go na filarach wpuszczonych poza korytem rzeki. Sprawą budowy mostu zajął się komitet pod przewodnictwem miejscowego nauczyciela, ob. Korony. Okoliczni chłopi zebrali na ten cel 50 tys. zł i przepracowali przy budowie mostu 20 tys. roboczogodzin.

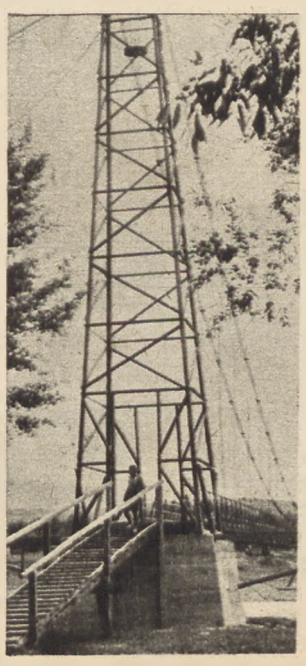

Most ten, o długości ponad 100 m, został oddany do użytku w dniu 22 lipca bieżącego roku.

J. Dąbrowski, Nowy Sącz

TURYSTYCZNA „NOWALIJKA"

Ci, którzy w tym roku byli na Wędrownych Wczasach Kajakowych PTTK na Mazurach, nabrali przekonania, iż nie ma nic przyjemniejszego ponad wodną wędrówkę.

Przez 14 dni płyniesz przez najpiękniejsze zakątki mazurskiego pojezierza. O kajaki, wyżywienie, noclegi troszczy się PTTK — ty martwisz się jedynie o pogodę.

Wędrowne Wczasy Kajakowe PTTK — turystyczna „nowalijka" tego sezonu — udała się w pełni. Codziennie od 2 lipca — raz z miejscowości o mało efektownej nazwie Pupy, raz z Piszu — wyrusza na dwutygodniowy spływ dwudziestoosobowa grupa. Trasa wiedzie przez rzekę Krutynię, kilka mniejszych jezior i jezioro Bełdan do Mikołajek, i z powrotem — przez jezioro Bełdan i Nidzkie — do Piszu. Kto wyrusza z Piszu, odbywa ją w odwrotnej kolejności.

Skierowania — na zasadzie wczasów FWP — rozdzielają okręgi PTTK w terenie.

R. Zawidowski, Kraków
Fot. K. Jarochowski

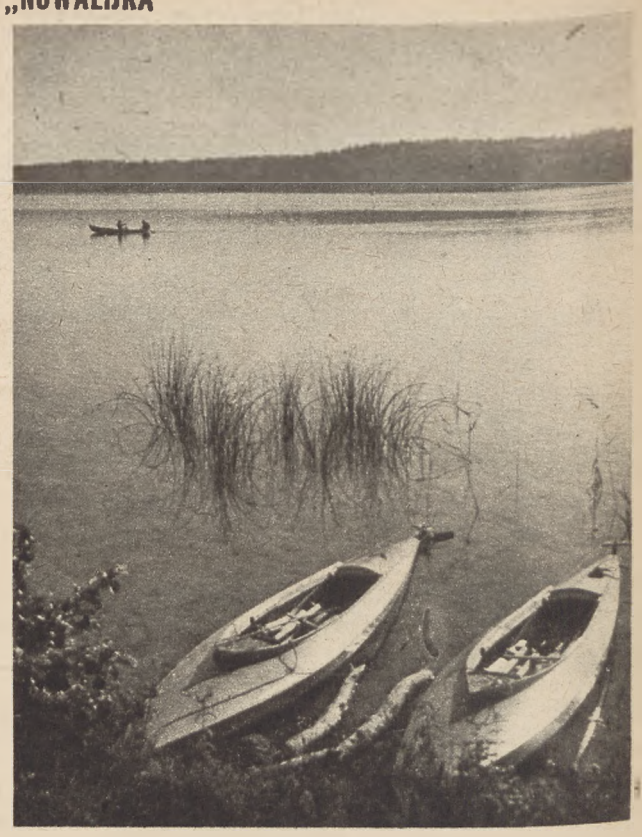

SMUTNE ŚWIADECTWO
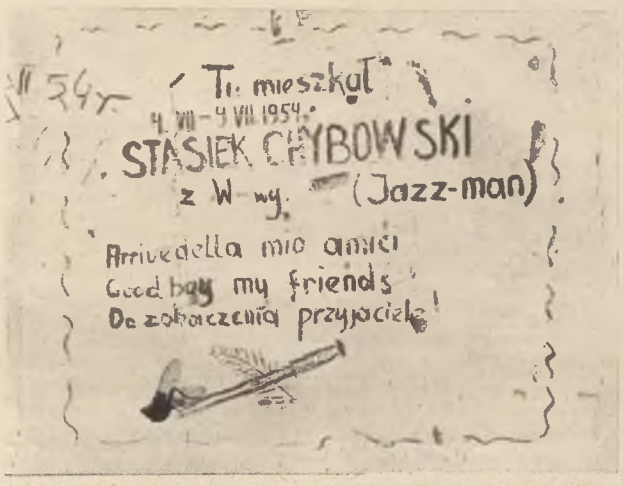
Kolego Chybowski z Warszawy, Koleżanko Kasiu z Grodziska, Jurku Kozle z Krakowa! Czy umieszczając swe autografy na murach domu FWP w parku miejskim w Mikołajkach zastanowiliście się, jak wyglądałby nasz kraj, gdyby tysiące turystów, wczasowiczów czy sportowców poszło w Wasze ślady? Gdyby każdy z nich pozostawiał po sobie pamiątkę w postaci wyrytego imienia i nazwiska na starych budowlach i nowych domach, na skałach i drzewach?

Oszpeciliby piękną, z pietyzmem odbudowywaną Warszawę i wiele innych miast w Polsce, zniszczyliby cenne, wiekowe nieraz zabytki, zohydziliby góry, lasy, parki — najpiękniejsze zakątki naszego kraju.

W ciągu 10 lat Polski Ludowej szeroko rozwinął się ruch turystyczny i wczasowy i najwyższy już czas, by wczasowicze i turyści zrozumieli, że tego rodzaju praktykami wystawiają samym sobie smutne świadectwo, świadectwo braku kultury, świadectwo barbarzyństwa.

Michał Zejdowski, Bydgoszcz

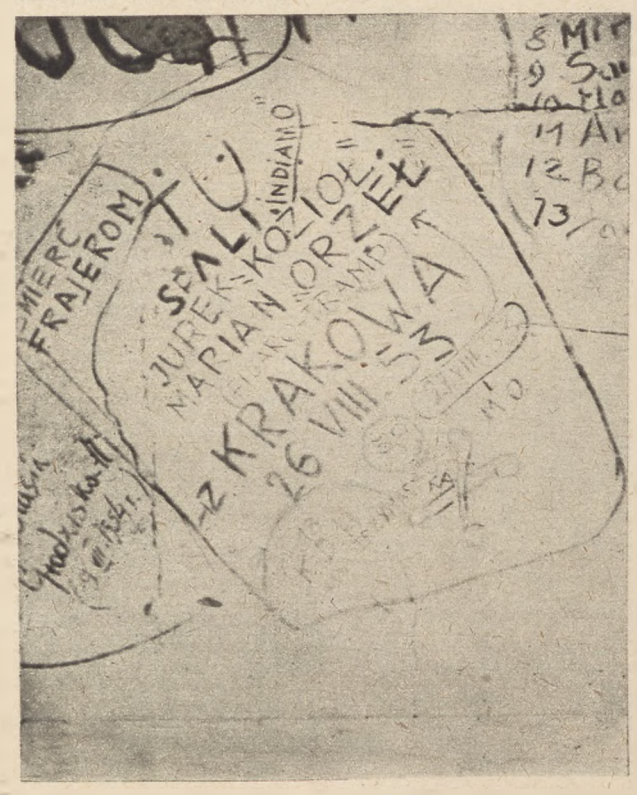

CODZIENNIE ŚWIEŻE WARZYWA

W jarosławskiej hali targowej otwarto nowe stoisko z warzywami i drobiem, zorganizowane i obsługiwane przez członków spółdzielni produkcyjnej im. Bolesława Bieruta w Sośnicy. Co dzień świeże warzywa, znacznie tańsze od sprzedawanych w handlu prywatnym, oraz drób pochodzą z tejże spółdzielni.

Mieszkańcy Jarosławia przyjęli inicjatywę sośnickiej spółdzielni z wielkim zadowoleniem; usprawni ona bowiem zaopatrzenie oraz pomoże w regulowaniu cen na targu i zwalczaniu spekulacji warzywami i drobiem.

M. Rajski, Jarosław

FOTOGRAFIA NA CODZIEŃ

PRACUJMY Z TERMOMETREM!

Jednym z podstawowych warunków powodzenia naszej pracy laboratoryjnej jest ścisłe określenie czasu wywoływania. Zależy on od rodzaju emulsji naszych filmów, składu wywoływacza i wreszcie — niezbyt na ogół przez fotoamatorów kontrolowanej — temperatury wywoływacza.

Każda recepta na wywoływacz podaje odpowiedni dla danego rodzaju emulsji czas wywoływania. Również na opakowaniach gotowych wywoływaczy określony jest w przybliżeniu czas wywoływania, który dokładnie ustalamy drogą doświadczeń. Dane te odnoszą się zawsze do ściśle uregulowanej temperatury roztworu, która wynosić powinna 18 stopni Celsjusza. Wszelkie odchylenia od tej granicy spowodować mogą znaczne różnice w zaczernieniu emulsji, zwiększenie ciepłoty ponad 18 stopni C. przyśpiesza bowiem działanie wywoływacza, obniżenie zaś — opóźnia jego pracę. Dlatego też termometr musi być nieodłącznym towarzyszem naszej pracy laboratoryjnej.

Odstępstwa od normalnej ciepłoty 18 stopni, czyli tzw. temperatury pokojowej, dopuszczalne są jedynie wówczas, gdy odpowiednio przedłużymy lub skrócimy czas wywoływania. Przepisy laboratorium wytwórni „Agfa" podają, iż przy temperaturze 15 st. czas wywoływania należy przedłużyć o 20%, przy temperaturze 22 st. — skrócić o 25%, przy temperaturze 25 st. — skrócić o 50%.

Pamiętajmy jednak, iż przy temperaturze poniżej 16 st. niektóre substancje (hydrochinon), przestają działać, powyżej zaś 26 st. żelatyna emulsji zaczyna się roztapiać i może całkowicie spłynąć z taśmy celuloidowej.

W okresie wielkich upałów szczególnie dogodny jest wywoływacz „K-25", wyprodukowany przez filmę Kodak w r. 1944. Skład jego jest następujący: metolu — 7,5 g, siarczynu sodu bezwodnego — 100 g, kwaśnego siarczynu sodu — 15 g, wody — do 1.000 cm sześć. Wywoływacza tego używamy w temperaturze 25 st., uważając bacznie, by nie przekroczyć granicy ani też nie dopuścić do znacznych różnic między ciepłotą poszczególnych kąpieli. „K-25" pozwala na uzyskanie wysokiej drobnoziarnistości, niemal takiej, jak przy stosowaniu wywoływaczy „klasycznych", zawierających parafenylenodwuaminę. Czas wywoływania dla emulsji o czułości średniej (ok. 17/19 DIN) wynosi 12 do 25 stopni, a później dopiero obniżamy stopniowo ciepłotę wody płuczkowej. Nagły skok temperatury utrwalacza czy wody płuczkowej spowodować może łatwo zmarszczenie się emulsji.

W litrze wywoływacza „K-25" wywołać można do 12 filmów małoobrazkowych. Wywoływacz ten przechowuje się dobrze, posiada wysokie walory wywoływacza drobnoziarnistego i wyrównawczego. Kłopotliwe jest jedynie utrzymywanie ciepłoty 25 stopni i powolne jej obniżanie do temperatury wody wodociągowej, która w niektórych wypadkach (zimą lub też woda z głębokiej studni) może mieć zaledwie 12 stopni C.

Oczywiście stosowanie tego pełnowartościowego wywoływacza jest niemożliwe bez ścisłej kontroli ciepłoty.

Zrekonstruowana czaszka „człowieka z Piltdown". Ciemne części — to znalezione fragmenty kości, jasne — dorobione w pracowni przez antropologów.

koniec „CZŁOWIEKA z PILTDOWN"

Napisał: EDWARD KARŁOWICZ

NIEWIELE było znalezisk w dziejach archeologii, które wywołałyby tyle dyskusji, sporów, polemik, co „człowiek z Piltdown". Na temat tego odkrycia, dokonanego w Anglii w roku 1912, napisano kilkaset prac naukowych, które wyrażały krańcowo sprzeczne ze sobą poglądy. Zabierały w tej sprawie głos autorytety z obu półkul; „zagadka człowieka z Piltdown" nie schodziła miesiącami ze szpalt czasopism naukowych.

Jeszcze pół roku po ostatecznym wyjaśnieniu zagadki sprawa „człowieka z Piltdown" wypłynęła w naszej prasie. Oto w „Tygodniku Powszechnym", w numerze 25 z 20 czerwca br., znalazł się artykuł ks. Piotra Chojnackiego „O pochodzeniu człowieka". Autor artykułu usiłował — nie po raz pierwszy zresztą — przy pomocy „człowieka z Piltdown" obalić teorię Darwina o pochodzeniu człowieka.

Dlaczego był mu do tego celu potrzebny „człowiek z Piltdown"? Rzecz wymaga krótkiego wyjaśnienia. Otóż w ciągu ostatnich 65 lat znaleziono na Ziemi w różnych miejscach (Jawa, Chiny, Niemcy, Azja Środkowa, Australia i in.) szczątki istot, które reprezentowały formy przejściowe od ssaków podobnych do małp — do człowieka. Znaleziska nie pozwalają jeszcze na podanie z całą dokładnością wszystkich kolejnych etapów rozwoju człowieka, ale jako ogniwa pośrednie wskazują w sposób niewątpliwy na przebieg ewolucji, w wyniku której powstał człowiek dzisiejszy — homo sapiens.

W tym logicznym ciągu sprawiały uczonym ogromny kłopot szczątki, znalezione w roku 1912 w Piltdown (hrabstwo Sussex, Anglia). „Człowiek z Piltdown" wyraźnie nie „pasował" do żadnego etapu ewolucji człowieka, naruszał logiczny łańcuch odkryć. Stąd liczne dyskusje i spory na temat zagadki „człowieka z Piltdown". I stąd ta skwapliwość, z jaką ks. Chojnacki wykorzystał angielskie znalezisko do „obalenia" Darwina.

„Rewelacyjne" wnioski artykułu w

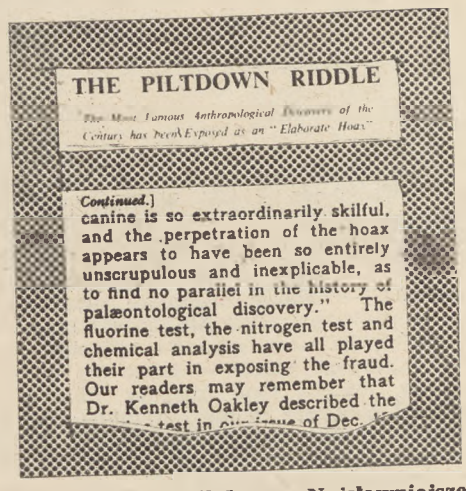

THE PILTDOWN RIDDLE

The Most Famous Anthropological Discovery of the Century has been Exposed as an "Elaborate Hoax"

Continued.)

canine is so extraordinarily skilful, and the perpetration of the hoax appears to have been so entirely unscrupulous and inexplicable, as to find no parallel in the history of palæontological discovery." The fluorine test, the nitrogen test and chemical analysis have all played their part in exposing the fraud. Our readers may remember that Dr. Kenneth Oakley described the test in [illegible] issue of Dec. [illegible]

„Zagadka z Piltdown. Najsławniejsze odkrycie antropologiczne stulecia zdemaskowane jako fałszerstwo z premedytacją" — zatytułowała swój reportaż londyńska „The Sphere" w grudniu ub. r. „Fałszerstwo wydaje się tak bezczelne i niewytłumaczalne, że nic można znaleźć mu równego" — cytowała w listopadzie „Illustrated London News" opinię fachowców z Muzeum Brytyjskiego.

„Tygodniku Powszechnym" doczekały się należytej odprawy w „Nowych Drogach" (Nr 7/61 z lipca br.). Odprawy tym dotkliwszej, że generalny argument ks. Chojnackiego — zagadkowy „człowiek z Piltdown" — jest po prostu fikcją, o czym autor artykułu w „Tygodniku" powinien był niewątpliwie wiedzieć od pół roku.

Oto bowiem już w listopadzie roku ubiegłego prasa fachowa szeroko pisała o zdemaskowaniu fałszerstwa — „największej mistyfikacji w dziejach nauki" — jak to określały niektóre czasopisma. Szczegółowe badania w sposób niewątpliwy wykazały, że zagadkowy „człowiek z Piltdown" — nigdy nie istniał!

Warto przy okazji przypomnieć dzieje tej niezwykłej mistyfikacji.

Mr. Charles Dawson, prawnik w Sussex, był z zamiłowania archeologiem-amatorem. W roku 1912 podczas prac ziemnych przy przeprowadzaniu drogi do jednej z ferm koło Piltdown, Dawson znalazł w stercie wykopanego żwiru odłamek czaszki ludzkiej. Jeden rzut oka na grubość kości przekonał go, że ma do czynienia z zabytkiem sprzed wielu tysięcy lat. Z pomocą dr Arthura Woodwarda z British Museum — Dawson przesiał całą masę wykopanego żwiru i ziemi i znalazł jeszcze kilka odłamków — część kości ciemieniowej, pół dolnej szczęki z dwoma zębami, a przy tym kamień ze śladami prymitywnej obróbki. Naukowcy zajęli się rekonstrukcją czaszki ze znalezionych części, odtwarzaniem wyglądu odkopanego praszczura — i tak narodził się „człowiek z Piltdown".

Nowe znalezisko zdecydowanie nie mieściło się w teoriach ewolucji, budowanych tak skrupulatnie przez uczonych całego świata. „Człowiek z Piltdown" — zamiast być pomocą — stał się poważnym kłopotem naukowców. Dyskusje na jego temat ciągnęły się dosłownie przez dziesięciolecia. A co było „kamieniem niezgody"? Zacytujemy głos specjalisty, Maxwell Reeda (W. Maxwell Reed, „The Earth for Sam", New York, 1931): „Rzecz polega na tym, że budową czaszki „człowiek z Piltdown" niewątpliwie przypomina człowieka; ...kamień znaleziony razem z kośćmi wskazuje na to, że „człowiek z Piltdown" umiał wytwarzać narzędzia kamienne. A równocześnie szczęka jego niesłychanie przypomina szczękę młodego szympansa; ostre jego kły wysunięte są do przodu, a zatem przypuszczalnie korzystał z nich w walce. Czaszka niemal ludzka i przy tym małpia szczęka! To właśnie odróżnia „człowieka z Piltdown" od wszystkich innych przodków człowieka".

Zagadka rzeczywiście niełatwa. A rozwiązanie jej nastąpiło dopiero w roku ubiegłym.

Szczątkami „człowieka z Piltdown" zajęła się komisja, wyłoniona przez wydział anatomii Uniwersytetu Oxford i wydział geologiczny British Museum. Grupa ekspertów w składzie: profesor W.E. Le Gros Clarck, dr J.S. Weiner i dr K.P. Oakley — przeprowadziła szczegółową analizę chemiczną i radiologiczną znalezionych odłamków kości. Wynik ekspertyzy był całkowicie zgodny i niewątpliwy: odłamki czaszki są szczątkami człowieka sprzed około 50 tysięcy lat; natomiast połowa szczęki należy do współcześnie żyjącego młodego szympansa i została ona tylko umiejętnie spreparowana, aby przypominać wyglądem kość sprzed wielu stuleci.

Tak przedstawiają się dzieje tej niesłychanej mistyfikacji naukowej.

Czyje to było dzieło? Jaki był cel fałszerstwa? Trudno teraz tego dociec. Mr Charles Dawson zmarł w roku 1916, otoczony szacunkiem współczesnych. Nikt dziś nie potrafi powiedzieć, czy prawnik z Sussex chciał sobie zakpić z nauki, czy dążył do sławy za wszelką cenę, czy też padł po prostu ofiarą pomyłki.

W każdym razie po 41 latach „człowiek z Piltdown" przestał być dręczącą uczonych zagadką.

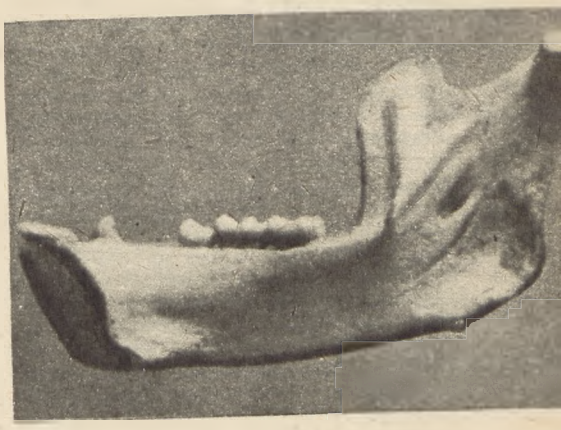

U góry — połowa szczęki współczesnego szympansa, u dołu — szczęka znaleziona w Piltdown, która się okazała również spreparowaną małpią szczęką.

Biblioteka Główna Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie

Zdjęcie z roku 1912. Charles Dawson, archeolog-amator (w owalu po lewej) oraz prof. Arthur Smith Woodward (w owalu po prawej) przesiewają skrupulatnie żwir i piasek w miejscu znaleziska.

Ekspert dr Kenneth Oakley (z prawej) z jednym ze współpracowników podczas badań, które doprowadziły do wykrycia mistyfikacji.

WITOLD WIRPSZA Ilustr.: JÓZEF CZERWIŃSKI

Milicjant

OPOWIADANIE

1.

PODCZAS uroczystości, odbywającej się w jednej ze spółdzielni produkcyjnych w powiecie wejherowskim z okazji przekazania do użytku odremontowanego przez uczniów Szkoły Morskiej budynku wiejskiego przedszkola, przemawiał jako jeden z ostatnich mówców komendant miejscowego posterunku Milicji Obywatelskiej. Wynurzył się niespodzianie z grupy umundurowanych po marynarsku chłopców, wszedł pewnym krokiem na obitą czerwonym suknem mównicę i w chwili, kiedy oparłszy swą barczystą postać o pulpit pochylił się do przodu i zaczął swoje przemówienie od ciężkiego, niezgrabnie zbudowanego zdania, wydało mi się, że zarówno ten sposób pochylenia tułowia, jak rodzaj popełnianych błędów stylistycznych, zwłaszcza zaś szczególne zająknięcia w środku wyrazów, powtarzające się w chwilach namysłu nad słowem następnym — są mi znajome. Gdy zaś zacząłem mu się przyglądać z bardziej wnikliwą ciekawością, właściwą napierającej fali wspomnień, podchwytując pewien niepowtarzalny błysk jasnopiwnych oczu, nabrałem pewności. Z pamięci wyłoniły się dwie sceny. Oto pierwsza z nich:

Koło roku 1930 chodził do trzeciej klasy prywatnego gimnazjum — jedynego zresztą, jakie Gdynia wówczas posiadała — czternastoletni chłopak nazwiskiem Antoni Kąkol, pospolicie zwany przez kolegów Toną. Jak samo nazwisko, a po trosze i imię na to wskazywały, był Tona Kaszubą, pochodził wszakże nie z tych Kąkolów, którzy w okresie zwyżki cen na place budowlane porobili w ciągu kilkunastu miesięcy krociowe majątki, lecz z tych, którzy, przeciwnie, na skutek przyczyn związanych z burzliwie niezdrowym rozwojem młodego portowego miasta, stracili wszystko, co mieli — a było tego niewiele, ot: dwie sieci, łódka na wiosła, składająca się raczej z łat i grubej warstwy smoły niż z normalnych desek, zapadająca się checza i dwie morgi piasku w takim miejscu, w którym nikt domów budować nie chciał. Podobni Kąkolowie z biednych, lecz swobodnych rybaków stawali się w ciągu tych samych kilkunastu miesięcy niewolnymi nędzarzami, wynajmującymi się w porcie do przeładunku.

Tona Kąkol był więc chłopcem biednym. Ponadto stał się bardzo szybko przedmiotem ustawicznych drwin swoich kolegów oraz pochlebiających dzieciom zamożniejszych rodziców nauczycieli owego prywatnego gimnazjum. Powodów po temu było kilka: po pierwsze, spodnie i kurtka Tony przypominały utraconą przez jego rodziców łódkę, tyle było na nich łat, i to nie zawsze szczelnych; po drugie, Tona uczył się nie nadzwyczajnie, raczej z powodu zahukania właśnie, niż z braku zdolności, ostatnio zaś, kiedy drwiny i kpiny stawały się już małpio złośliwe, uczył się zdecydowanie źle; w końcu, Tona mówił po polsku niedobrze, a przedrzeźniany bez ustanku, nigdy się poprawnie mówić nie nauczył. W tych warunkach nieuchronnie nadchodził dzień, który miał być w jego szkolnej karierze ostatnim.

Katastrofa zdarzyła się na lekcji geografii. Geograf, młody jeszcze nauczyciel, zawsze starannie ubrany i wymawiający poszczególne słowa aż do przesady wyraźnie — co przy jego szczupłej sylwetce nadawało mu pozór surowości — był wychowawcą klasy. Na samym początku tej lekcji, zaraz po sprawdzeniu obecności, wywołał Tonę do mapy:

— Może nam powiesz, Kąkol, o czym mówiliśmy na ostatniej lekcji?

Milczenie. Chłopak stał w swoich łaciatych portkach przed stojakiem, zgarbiony, przekonany zapewne, że za chwilę powie coś niewłaściwego. W końcu niepewnym krokiem przysunął się bliżej mapy i zasmarowaną atramentem ręką uczynił ruch, okalający półwysep jutlandzki.

— Nie dotykaj mapy brudnymi rękami. Tam w kącie stoi kij.

Tona rozejrzał się bezradnie. Kija nie spostrzegł. Wyciągnął jeszcze raz rękę w kierunku mapy. Wtedy geograf powiedział:

— Dyżurny, podaj Kąkolowi kij, bo on dzisiaj zaniewidział.

Po klasie przebiegł szmer tłumionego śmiechu. Dyżurny wstał i podał Tonie kij.

— No, więc o czym mówiliśmy wczoraj?

Tona niezdecydowanie podniósł kij do góry i zatoczył nim koło na mapie, o wiele jednak za wielkie.

— Aha. Sądząc z tego, coś nam pokazał, mówiliśmy o Danii, południowej Szwecji i północnych Niemczech. Ale, jak widzę, tyś dzisiaj nie tylko zaniewidział, lecz również i zaniemówił.

Szmer w ławkach powtórzył się, geograf posłał klasie pobłażliwy uśmiech.

— Widzisz, śmieją się z ciebie. Ale ty pewnie dobrze umiesz każdą lekcję, prawda?

Wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Tona zaczął mówić, ściskając kij mocno w obu rękach.

— Mjelismy san naueczyc ue Da... — zatrzymał się w pół słowa, zająknął, poczerwieniał z wysiłku i pochylił jeszcze bardziej, patrząc nieruchomym wzrokiem w podłogę. Ręce trzymające kij naprężyły się i, zanim zdążył powtórzyć rozpoczęte słowo, kij trzasnął w połowie.

Geograf wstał powoli z katedry, zbliżył się do chłopca spokojnie i w milczeniu, wyjął mu z rąk oba kawałki połamanego kija, położył na swoim pulpicie i wrócił na miejsce. W klasie było zupełnie cicho.

— Niszczyć przybory szkolne — potrafisz — rozległ się twardy głos nauczyciela. — Mazać brudnymi palcami po mapie — potrafisz. Ale uczyć się nie potrafisz. Po polsku mówić — nie potrafisz. Czesnego płacić — także nie potrafisz. Rodzice twoi zalegają już pół roku. I ponieważ to nie jest zakład dobroczynny ani instytut dla ślepych albo niemych, spakujesz po tej lekcji książki i pójdziesz do domu.

Z ostatniej ławki rozległo się półgłosem:

— Due checzy.

Geograf uśmiechnął się znowu pobłażliwie. Tona tymczasem stał dalej pod mapą, pochylony jak przedtem, jakby wszystko to, co zostało do tej pory powiedziane, nie odnosiło się do niego. Uczepił się słowa, na którym był przerwał, i powtórzył, tym razem gładko, bez zająknienia:

— Mjelismy san naueczyc ue Danii.

Nauczyciel przerwał sucho:

— Na miejsce. Do mapy przyjdzie Jabłoński.

2.

Druga scena rozegrała się kilka lat później. Był rok 1935, w porcie gdyńskim wybuchł późną jesienią strajk. Mieszkałem wówczas w dzielnicy, oddzielonej od portu szeroko rozrzuconym węzłowiskiem kolejowym i często skracałem sobie drogę ze śródmieścia, idąc słabo oświetloną i wyłożoną grubym brukiem ulicą oraz klucząc mostami, przerzuconymi ponad tory. Tak było i owego wieczoru.

Pogoda była obrzydliwa. Drobny deszcz, pędzony zimnym i porywistym południowo-zachodnim wiatrem ciął ostro w twarz. Płaszcz stawał się już po pięciu minutach marszu nieprzyjemnie wilgotny i obcierał kark mokrym, szorstkim kołnierzem. Dobrnąłem właśnie do jednego z mostów, gdy nagle z boku, ze skarpy wyłoniła się jakaś postać i zagrodziła mi drogę.

— Dueкąd pan idze? — Dopiero teraz spostrzegłem, że wysoki, barczysty mężczyzna ma opaskę na ramieniu. Kulił głowę w podniesiony kołnierz. — Tu dzisaj druegi nie ma.

Starałem się wytłumaczyć, że idę do domu, skrótem. Że jestem uczniem. Pokazałem mu czapkę licealną i płaszcz z numerkiem.

— To nic. Pan puejdze... — zatrzymał się na tym słowie w charakterystyczny sposób. Jednocześnie kiwnęła się za silnym podmuchem lampa, zawieszona na wysokim betonowym słupie. Ujrzałem jego twarz. Jeszcze ją pamiętałem.

— Tona!

Poznał mnie również. Odwróceni tyłem do wiatru, zaczęliśmy rozmowę, którą notuję tutaj — tak, jak mi ją pamięć przekazuje, bez gwarowych przeinaczeń Tony.

— Gdzie pracujesz?

— W porcie, przy przeładunku. Jako robotnik niewykwalifikowany, na nabrzeżu szwedzkim.

— Tak. Ja za kilka miesięcy zdaję maturę.

— Niepotrzebnie chodziłem do gimnazjum. Mogłem się czegoś innego nauczyć. A teraz — już na całe życie.

— W domu uczyć się nie możesz?

— Uczę się w domu, ale czego innego niż ty w gimnazjum.

— Czego?

Milczenie. Po chwili:

— Ja moją maturę zdaję tutaj, na moście.

Wiatr uderzył nas wściekle w plecy. Z kolei ja milczałem. Gdy nie udała się próba zapalenia papierosa, rzekłem:

— I jak, Tona, puścisz mnie?

— Nie puszczę. Nie mam prawa tobie wierzyć. Tam, za mostem, jest skrzyżowanie i jedna z dróg idzie do portu.

— Ale ja przecież do portu nie pójdę

— Możesz iść naokoło.

Skończyło się na tym, że zawróciłem. Obejrzawszy się po dwudziestu krokach, ujrzałem w ciemnościach masywną, pochyloną sylwetkę, schodzącą na urwisko nasypu.

Port milczał.

3.

Na uroczystości przekazania przedszkola spółdzielni produkcyjnej komendant posterunku Milicji Obywatelskiej kończył swoje przemówienie. Po przezwyciężeniu początkowych trudności mówił nawet dość gładko, nalot akcentu gwarowego był nikły:

— Ja, jako przedstawiciel aparatu Państwa Ludowego, obiecuję wam, że nikt naszego przedszkola nie ruszy, że nikomu nie uda się ani kradzież, ani sabotaż. Przeciwko szkodnikom zastosujemy wszelkie środki, jakimi rozporządzamy. Dzieci nasze będą miały dobrze.

Po części oficjalnej rozpoczęła się w piękne i pogodne wiosenne popołudnie zabawa ludowa. Przygrywała orkiestra Marynarki Wojennej, tańczono zaś na drewnianym podium pod starymi parkowymi drzewami. Nieopodal, w miejscu rozświetlonym, entuzjaści sportu rozgrywali partię siatkówki.

Przed wejściem do przedszkola ustawiono bufet, w którym można było dostać piwa, kruchych ciastek, wina owocowego i cukierków. Kilka osób siedziało przy składanych stolikach typu „ogrodowego". Przysiadłem się do komendanta posterunku, pijącego piwo z butelki.

— Tona?

Tak, okazało się, że to był on. Przypominał sobie z trudem, w końcu poznał mnie. Rozmowa nasza trwała długo, około godziny. Przytoczę tylko w skrócie jej zakończenie:

— Więc mówisz, że piszesz książki? Dajesz sobie z tym radę? Bo ja, gdybym był tobą, samemu sobie bym nie ufał.

— Łatwo mi nie jest. Ale daję sobie radę — właśnie dlatego, że ufam w swoje siły. Na nieufności jeszcze niczego nie zbudowano. Nie masz racji, Tona.

Obracał w ręku butelkę z piwem, niezręcznie jakoś, bo wylał trochę na stół. Starł chusteczką, westchnął.

— Tak, pewnie nie mam racji. Ale to jeszcze zostało z tamtych czasów.

Wyprostował się nagle na krześle, spojrzał na zegarek.

— Na mnie już czas.

Odnalazł swój stojący pod ścianą rower, poprawił pas, przesunął kaburę, aby mu nie przeszkadzała, siadł i odjechał. Patrząc, jak manewrował rowerem wzdłuż krętej ścieżki, biegnącej przez park, przypomniałem sobie, że dzisiaj przy pożegnaniu podał mi rękę i że przed kilkunastu laty na moście tego nie uczynił.

Najlepszym długodystansowcem świata pozostanie niewątpliwie nadal Emil Zatopek, mimo porażki, jaką odniósł w Budapeszcie. Na mistrzostwach reprezentować będzie CSR również Dana Zatopkowa (w rzucie oszczepem).

CZECHOSŁOWACCY MISTRZOWIE

RUDOLF KNESCHKE — *Korespondencja „Świata" z Pragi*

W MISTRZOSTWACH lekkoatletycznych Europy, które odbywają się w sierpniu br. w Szwajcarii, biorą udział także lekkoatleci z Czechosłowacji. Do tej doniosłej imprezy sportowej przygotowywali się oni bardzo pilnie. Sumienny ich trening już na początku nowego sezonu przyniósł kilka pięknych wyników. W Paryżu i Brukseli Emil Zatopek ustanowił nowe rekordy świata na 5 i 10 km oraz 6 mil angielskich. Podobnie cenne zwycięstwo odniósł Jungwirth w Londynie nad rekordzistą świata Bannisterem (w biegu na 880 jardów).

Na uwagę zasługują też osiągnięcia Olgi Modrachovej w skoku wzwyż (167 cm) oraz w pięcioboju — 3739 punktów. Również krajowy rekord Rehaka w trójskoku 15,37 m znajduje się na poziomie światowym.

W sprintach czechosłowacki zawodnik Janecek uplasował się w rzędzie dziesięciu najlepszych Europejczyków. Wraz z Brożem liczą oni na wejście do finału w biegu na 100 m. W biegu na 800 m i na 1.500 m bierze udział wspomniany już Jungwirth. Jego forma wskazuje, że więcej szans będzie miał w biegu na 1.500 m, mimo że w ubiegłym roku był najlepszy w Europie na 800 m. Obok Jungwirtha niespodziankę może sprawić Zvolensky (1.500 m w 3:47,6 min). W biegu z przeszkodami na 110 m z płotkami mają nadzieję na finał Tosnar i Mrazek.

Wśród długodystansowców (5 km i 10 km) największe szanse ma niewątpliwie Zatopek, mimo ostatniej porażki, jaką poniósł w Budapeszcie, ulegając w biegu na 10 km Węgrowi Kovacsowi. Słuszność metod treningowych Zatopka znalazła potwierdzenie nie tylko w nowych rekordach, ale i w sukcesach całej grupy czechosłowackich długodystansowców (Ullsperger, Koubek, Tomis i in.), którzy stosowali jego metody.

Również w innych dyscyplinach zauważyć się daje znaczniejsza poprawa. Przodują miotacze młotem (rekord Macy wynosi 61 m.) W rzucie dyskiem można liczyć na stale poprawiającego się Mertę, który w lipcu ustanowił nowy rekord CSR rzutem 52,01 m. Oszczep stanowi słaby punkt czechosłowackiej atletyki: szczytowym wyczynem w ubiegłym roku było 66,30 m. W roku bieżącym notujemy już 69,71 m.

Reprezentant w skoku wzwyż, Lansky, wynikiem 201 cm pobił rekord CSR. Nie wyczerpuje to jeszcze jego możliwości. W skoku w dal zwrócił na siebie uwagę młody Martinek, który w tym roku zdołał zwyciężyć Fikejza skokami około 7,30 m. Ostatnio pobił on rekord Czechosłowacji skokiem 7,43 m.

W lekkoatletyce kobiet na mistrzostwach reprezentuje Czechosłowację m. in. Dana Zatopkowa, która po złamaniu nogi już powróciła do zdrowia i pobiła rekord krajowy w rzucie oszczepem, osiągając 53,26 m. Wszechstronna Modrachova należy do zawodniczek, które nieustannie poprawiają swoje wyniki. Na 800 m pobiegnie mistrzyni CSR Müllerowa — jej bojowość, wytrwałość i szybkość sprawią, że prawdopodobnie uplasuje się na dobrym miejscu.

Mistrzem Czechosłowacji w rzucie młotem jest Maca. Uzyskał on ostatnio doskonały wynik rzucając 61 m.

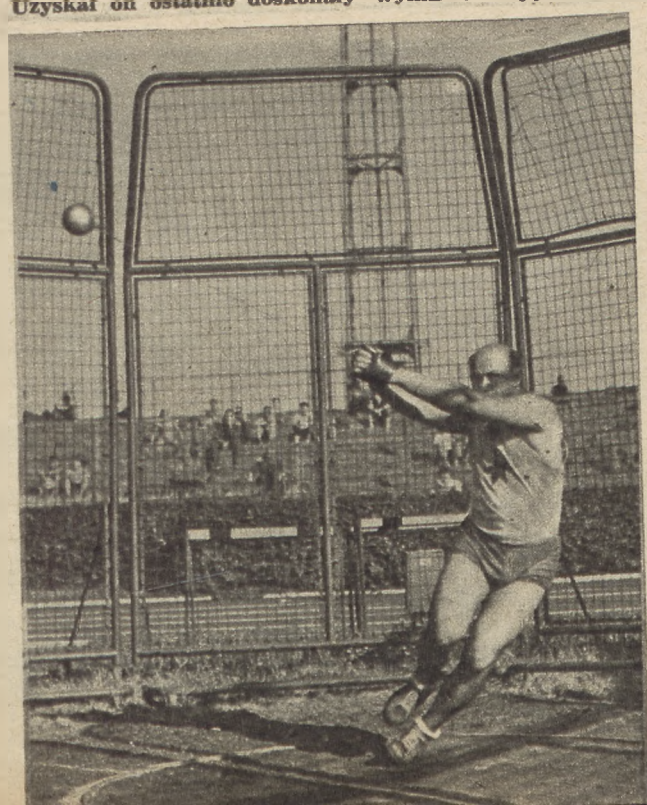

Rekordzista czechosłowacki Jungwirth, pokonał w Londynie Bannistera (Wszystkie zdjęcia — Czechośrodek)

JÓZEF HEN

Notatnik zapaleńca

LITERAT WCIĄŻ CHUDY

SŁOŃCE świeciło (jakże nie zacząć utworu od świecącego słońca!), ptaszki śpiewały (może i nie śpiewały, nie zwróciłem na nie uwagi, ale skoro jest już słońce, niech będą i ptaszki), a w głowie myśli krążyły senne, leniwe i niemądre (to już jest ścisłe). O czym rozmawiać w takiej chwili? O piłce nożnej. Towarzystwo było dowcipne, dystyngowane i, co tu ukrywać, nieco wiekiem dojrzalsze (a może i nie tylko wiekiem, ale nie w tym rzecz). Zaczęły padać dziwne nazwiska: Synowiec... Garbień... Kuchar... Gintel... Klotz... Loth... Batsch... Mielech... Spojda... Wobec tego, że nie potrafiłem na ten temat nic powiedzieć, dojrzalsze wiekiem i doświadczeniem towarzystwo zaczęło spoglądać na mnie z nie dającą się opisać pogardą.

Zapaleńcy! Gdybyśmy posiadali porządnie napisaną historię polskiego piłkarstwa, gdybyśmy posiadali więcej wydanych przyczynków do dziejów naszego sportu, nawet najbardziej dojrzałe towarzystwo nigdy nie zdołałoby nas młodych w kozi róg zapędzić! Niestety, na razie jesteśmy wciąż w tym rogu ciemni jak tabaka i o tym, żeby się przejaśniło — nic jakoś nie słychać.

Owszem, zdarzają się sporadyczne wypadki, że jakiś śmiałek z własnej inicjatywy bierze na swoje plecy trud udźwignięcia pracy historycznej. Z zadowoleniem można odnotować, że ukazała się książka pt. „Pamiętnik Feliksa Sztama" w opracowaniu Kazimierza Gryżewskiego. Szczegółowe omówienie przedwojennych walk pięściarstwa polskiego, tabelki, zdjęcia — to wszystko daje nareszcie rzetelną informację o przeszłości naszego boksu. Drugi tom „Pamiętnika Sztama" będzie opowiadał o naszym boksie powojennym.

Książkę wydała „Nasza Księgarnia". Czy jest to instytucja najbardziej do tego powołana? Na szczęście, redaktorem tej książki jest pracownik „Naszej Księgarni", M. Wadecki, którego pamiętamy jako działacza CWKS-u. Jest to doprawdy wypadek wyjątkowy. W rzeczywistości nasze wydawnictwa nie mają odpowiedniego zespołu fachowców, żeby wydawać tego rodzaju książki. Przepraszam — jest takie wydawnictwo: „Sport i Turystyka". Ale ono — dla odmiany — nie otrzymuje od C.U.W. zezwolenia na zajmowanie się tego rodzaju literaturą. Dlaczego? Żeby było trudniej zgadnąć!

W zasadzie beletrystyczną literaturę sportową — powieści, pamiętniki, publicystykę — mają wydawać „Iskry". Ale „Iskry" mogą wydawać książki na dziesiątki innych tematów, w których redaktorzy czują się na pewniejszym gruncie. W najlepszym wypadku „Iskry" mogą tu być sumiennym odtwórcą, nigdy zaś — inspiratorem. Któż ma więc, u licha, inspirować literata do powieści sportowej? Naturalnie, że sam sport! Ale komu powinno na tym zależeć? Związkowi Literatów? Niby dlaczego? Ministerstwu Kultury i Sztuki? Wolałoby zapewne, żeby bohaterami powieści byli raczej członkowie zespołu „Mazowsze" niż piłkarze. Odpowiecie: „Oczywiście, że GKKF-owi!" Ale to, co nam wszystkim wydaje się takie oczywiste, w praktyce wygląda zupełnie inaczej.

Mówiono i pisano kiedyś dużo o nieszczęsnej sprawie biletów. Nie wiem, dlaczego red. Piotrowski wyobraził sobie, że literaci żądają bezpłatnych biletów. Nic podobnego! Upominałem się o p ł a t n e bilety na imprezy międzynarodowe. I dlatego na międzynarodowe, bo na mecz CWKS—Unia płatny bilet można dostać w kasie. Kiedy do Polski przyjechali zagraniczni lekkoatleci, Związek Literatów zapotrzebował w PPIS 20 p ł a t n y c h biletów. Otrzymał... pięć! Oto jak nasi działacze sportowi ucieszyli się, że literaci interesują się lekkoatletyką! Osobiście odnoszę wrażenie, że przeciwnie, to zainteresowanie ich przeraża. Że wolą, żeby było jak dawniej — cicho, spokojnie, żeby nikt się nie wymądrzał.

Nie mówiąc już o tym, że „inspiratorom" z GKKF nie przyjdzie do głowy, żeby zaproponować któremuś z pisarzy wyjazd na jakąś wielką imprezę międzynarodową wespół z ekipą sportową. Dla fotografa miejsce się znajdzie (i słusznie!), ale nikt nie pomyśli o chudym literacie. W 52-osobowej ekipie, która udała się do Berna, nie znalazło się ani jedno miejsce dla pisarza; nie pomyślano o tym, żeby kilkudziesięcioosobowej wyprawie piłkarzy do ZSRR towarzyszył chociaż jeden literat.

Nie czas na żale! Bo powieści i opowiadania sportowe będą. Ale nie dzięki władzom sportowym, ale — mimo nich. Takie psikusy płata literatura od wieków!

SPORT • SPORT • SPORT •

PIERŚCIEŃ KARDYNAŁA

(4)

Napisał: MARIAN PODKOWIŃSKI

Komisarz francuski w Koblencji, Tirard, zmusił Dortena, aby zrezygnował ze swoich politycznych aspiracji na rzecz faworyta rządu francuskiego, Konrada Adenauera.

3.

PODCZAS gdy Adenauer i jego zausznicy starali się przyspieszyć likwidację rewolucji w Kolonii, „czerwony Berlin" spędzał sen z powiek reńskim oligarchom. Hasła rewolucji niemieckiej na odcinku socjalizacji przemysłu zakłócały spokój magnatom i bankierom Zagłębia Ruhry. Widmo sekularyzacji dóbr kościelnych i parcelacja junkierskich latyfundiów i intratnych folwarków spędzały również sen z powiek biskupom i baronom. Gdy Liebknecht przemawiał do niezliczonych tłumów zalegających Lustgarten w Berlinie, gdy czerwona chorągiew zawisła nad basztą zamku Hohenzollernów, a na balkonie, z którego Wilhelm II przyjmował ongi parady wiernych regimentów, zjawiła się szczupła postać uwolnionej z Wronek Róży Luksemburg, panowie reńscy w Kolonii, w Duesseldorfie, w Moguncji i Trewirze uderzyli na alarm.

Jeszcze w październiku roku 1918, wkrótce po wypuszczeniu z więzienia Liebknechta, reakcja kolońska zaczęła motać pierwsze nici do zielono-biało-czerwonego sztandaru wolnej „Republiki Reńskiej": z własną walutą, wojskiem i dyplomacją. Powoływano się na „Związek Reński" i nawet na Hieronima, z łaski Bonapartego króla Westfalii. I na armię reńską, która pod Napoleonem szturmowała Moskwę w pamiętnym roku 1812. Że przecież dopiero po Kongresie Wiedeńskim (1815) Nadrenia została okupowana przez Prusy i że generałowie pruscy „zawsze czuli się u nas jak w obcym kraju..."

Historyk tych czasów, dr Fritz Brueggemann opowiada w książce „Die Rheinische Republik" (wydanej w 1919 w Bonn), że w październiku roku 1918 w sali rady pedagogicznej szkoły licealnej w Koeln-Ehrenfeld (dzielnica willowa Kolonii) zebrali się patrycjusze, aby radzić o republice reńskiej. W tydzień później organ „Centrum", „Koelnische Volkszeitung", wystąpił z cyklem artykułów na temat oderwania Nadrenii od Rzeszy. A 9 listopada, w dzień proklamowania republiki w Berlinie, sam naczelny redaktor tej gazety, zaufany człowiek Adenauera, dr Hoeber, zakończył wstępny artykuł w sprawie republiki nadreńskiej słowami: „Bądźmy zawsze w pogotowiu".

Prałat Kaas, późniejszy prezes katolickiego stronnictwa „Centrum", przynaglał Adenauera do utworzenia „Republiki Reńskiej". Umarł po ostatniej wojnie w Rzymie jako jeden z sekretarzy Piusa XII — do spraw niemieckich.

Wiesbadeński prokurator dr Dorten, ubiegający się o fotel premiera „Republiki Reńskiej", pod presją rządu francuskiego musiał ustąpić miejsca Adenauerowi. Po wojnie Dorten opisał w pamiętnikach kulisy reńskiego puczu.

11 listopada, w dzień zawieszenia broni, „Koelnische Volkszeitung" prowadzi nadal swoją kampanię, finansowaną przez magnatów reńskich. W artykule „Kolońskie Centrum i nowe czasy" znajdujemy sprawozdanie z zebrania partii w wielkiej sali Resursy Obywatelskiej. Do zgromadzonych obywateli przemówił znany działacz „Centrum", proboszcz Kastert, oświadczając, iż „nasza partia nie uznaje republiki obwołanej przez pana Scheidemanna". Inny mówca, centrowiec Kuckhoff, poddał w ogóle w wątpliwość istnienie republiki, „ponieważ nie posiada ona większości w Reichstagu". A jeśli Berlin obstaje przy swojej republice — wołał inny mówca — to wobec tego my nie uznajemy Berlina... „Los von Berlin" — krzyczano na sali — notuje reporter „Koelnische Volkszeitung".

W tym samym czasie gazety reńskie podają już nawet granicę przyszłego państwa: nie tylko Zagłębie Ruhry, ale i Palatynat Reński oraz Hesja. Tak, aby przemysłowcy mogli łatwo zdusić ogolocone z przemysłu pozostałe obszary Niemiec.

W okresie między 9 a 15 listopada zachodzą pewne wypadki, które wskazują na linię rozwojową polityki separatystów. Na arenę wkracza Konrad Adenauer, który z błogosławieństwa prawicy SPD dzierży władzę w mieście pełnym rozbrojonych żołnierzy i wiwatujących marynarzy. W „Kronice miasta Monastyr o listopadowej rewolcie i separatyzmie 1918 roku" — cytujemy za książką dr Joachima Pecka — czytamy pod datą 9 listopada:

„W kolońskim ratuszu siedmiu czołowych działaczy z „Centrum" i „Koelnische Volkszeitung" omawiało dzisiaj z nadburmistrzem Adenauerem utworzenie niezależnej Republiki Reńskiej; oświadczyli mu oni, że należy liczyć się z aneksją lewego brzegu Renu przez Francję; jedynym środkiem przeciwko temu jest ogłoszenie niezależnej republiki reńskiej".

W rozmowie tej wzięli wówczas udział proboszcz Kastert, dr Froberger z zakonu misjonarzy „Unserer Lieben Frau von Afrika", dr Karl Mueller oraz aktywiści „Centrum" w Kolonii — Rings, Maus, Bollig, dr Hoeber — redaktor naczelny „Koelnische Volkszeitung". Znany publicysta tamtych czasów, Rhenanus (pseudonim Heinza Gorrenza), notuje już wtedy w książce „Spiskowcy" (Berlin, 1924), że duszą wszystkich separatystycznych inspiracji był kolońskí nadburmistrz Adenauer i jego polityczny doradca, Geheimrat dr Eckert.

Adenauer działa zaś z wyraźnego polecenia kolońskiego klanu, którym wtedy trząsł potężny bankier Louis Hagen, zasiadający w 64 radach nadzorczych domów bankowych, hut i kopalni. Należał on do zarządu „Centrum" i cieszył się łaskami ówczesnego kardynała Hartmanna, arcybiskupa Kolonii. Dalszymi patronami poczynań Adenauera byli: przemysłowiec Paul Silverberg (wiceprzewodniczący potężnego Związku Przemysłu Niemieckiego, petentat węglowy), konsul Adolf Oehme (przewodniczący związku kolońskich firm handlowych), Otto Wolf (jeden z największych magnatów nad Ruhrą), bankier Heinrich von Stein (jego bank przejął później sławetny Freiherr von Schroeder), radca komercyjny Max Charlier, no i Hugo Stinnes. Oto założyciele kolońskiego klanu, którzy wszechwładnie rządzili bogactwami Zagłębia Ruhry. Zmieniali się wprawdzie później członkowie tego klanu, ale mafia nadreńskich monopolistów przetrwała Hitlera i dzisiaj rządzi niepodzielnie w zachodnich Niemczech z tą może różnicą, że kanclerz boński nie jest już tylko wykonawcą rozkazów, ale i współrozkazodawcą.

W pierwszych dniach grudnia roku 1918 emisariusze klanu nie tylko mówią i piszą, ale działają. Urządzają w rozmaitych miastach po obu brzegach Renu wiece i manifestacje, na których — w myśl „programu" Wilsona — domagają się specyficznie pojętego „prawa do samostanowienia"... Mówi się o narodzie reńskim, o konstytucji reńskiej. Wieczorem 4 grudnia kolońskie „Centrum" urządza ponownie w salach Resursy Obywatelskiej wielkie zgromadzenie, na którym występuje proboszcz Kastert (za wiedzą kardynała Hartmanna i biskupa Trewiru, Felixa Korum), przewodniczący reńskiej organizacji „Centrum", b. minister Trimborn oraz redaktor „Koelnische Volkszeitung", dr Hoeber. Wszyscy domagają się oderwania Nadrenii od Niemiec. Proboszcz Kastert jest najbardziej wojowniczy. Zamykając zebranie woła on na cały głos: „Los von Berlin! Z Trewiru, Koblencji, z prowincji badeńskiej, z Palatynatu, z dolnego Renu, z Westfalii, zewsząd słyszymy wołanie: kolończycy, na co jeszcze czekacie?!"

Ale Adenauer nie ma jeszcze pełnego programu. Komisja Międzyaliancka przybywa tymczasem do Kolonii. Komisarze brytyjscy, jak generał Clive, pułkownicy Pigott i Ryan, francuscy rezydenci, jak generał Tirard, markiz de Lillers czy pułkownik Menial są w tym czasie serdecznymi gośćmi i politycznymi suflerami poczynań Adenauera. A wraz z nimi zgłasza się pewnego dnia do Adenauera całkiem nie zapowiedziany gość. Będzie on później koronnym świadkiem imperialistycznych matactw Adenauera.

Karol Liebknecht, przywódca niemieckiego proletariatu, bestialsko zamordowany w 1919 roku przez pruską soldateskę w berlińskim hotelu „EDEN".

4.

W PIERWSZEJ połowie grudnia roku 1918 w portierni wytwornego „Hotelu pod Tumem" (Domhotel) przy Nowym Rynku zjawia się wysoki, szczupły osobnik z monoklem w oku i prosi o pokój. Czy był zamówiony? — pyta portier.

— Owszem, dwa dni temu...

— Na czyje nazwisko?

— Prokurator Dorten z Wiesbadenu — brzmi sucha odpowiedź.

— Ależ oczywiście, naturalnie — kłania się portier — już wiem, ten pokój zamówiła kancelaria nadburmistrza...

— Możliwe — odpowiada zwięźle przybyły.

Kiedy gość odchodzi, biorąc klucze i małą walizeczkę, portier długo wodzi za nim oczyma. Potem woła chłopca hotelowego i powiada:

Oto członkowie tzw. rządu republiki reńskiej przed

— Widzisz tego pana w meloniku, z monoklem w oku? Zapamiętaj sobie dobrze tę twarz... To dr J. A. Dorten — przywódca separatystów nadreńskich. Agent francuski w mundurze pruskiego prokuratora. On chce nam oderwać kawał kraju od naszej ojczyzny... Łajdak!

Pan Dorten nie jest bynajmniej kłopotliwym gościem. Przeciwnie. Nikt do niego nie dzwoni, poczta nic ma z nim kłopotów, a także rzadko widać go w hotelowej restauracji. Jeszcze rzadziej zaś w hallu, gdzie panowie zbierają się pod wieczór na tradycyjne pogaduszki przy piwie i cygarach.

Ale gość z Wiesbadenu, gdzie rezyduje w imieniu Komisji Międzyalianckiej markiz de Lillers, ma w tym czasie ręce pełne roboty... O nim to, przed jego wyjazdem do Kolonii, pisał markiz do swego szefa w Koblencji, generała Tirarda:

„...Dr Dorten stoi na czele organizacji, która może nam się bardzo przydać; zwolenników nie ma zbyt wielu, ale istnieje możliwość, że liczba ich wzrośnie... Przy zaostrzeniu się sytuacji może służyć nam informacjami o osobach jak również o sposobie ich traktowania. Sądzę, iż byłoby lekkomyślne, gdybyśmy zbagatelizowali jego usługi, zwłaszcza że — o ile wiem — spalił on właśnie za sobą wszystkie mosty. W Paryżu przedstawił nam plan współpracy z Francją. Bez półśrodków i dwuznaczności...“

Dorten był jawnym separatystą i posiadał rozgałęzione stosunki w przemyśle reńskim. Był członkiem potężnego „Industrie-Clubu“ w Duesseldorfie, który trząsł Nadrenią. Był pupilem Louisa Hagena i jego klanu. Był też w każdej chwili do ich dyspozycji. Kiedy w lipcu roku 1918 stało się jasne, że klęska Niemiec jest już kwestią tylko tygodni, Dorten zjawił się w duesseldorfskim klubie. Oto jak opisuje w swoim pamiętniku — („Tragedia Reńska“, który dopiero po drugiej wojnie wyda w Paryżu) — ówczesne wrzenie w kołach przemysłowych Nadrenii:

„Kilku zaprzyjaźnionych ze mną przemysłowców wezwało mnie gwałtownie na posiedzenie w Duesseldorfie... W czasie mego krótkiego pobytu w Nadrenii latem roku 1918 zostałem poinformowany o rosnącym niezadowoleniu przemysłowców, wyczuwających nadejście rewolucji... Pospieszyłem tedy do Duesseldorfu, gdzie znalazłem się w towarzystwie paru przemysłowców z Akwizgranu, Kolonii i Ruhry... Oświadczono mi, iż dla przemysłu niezbędna jest obserwacja ruchu nadreńskiego, który dla życia gospodarczego i przemysłowego Nadrenii może mieć wkrótce decydujące znaczenie...“

Dyskusja w klubie rekinów ciężkiego przemysłu zbrojeniowego trwała krótko. W tych parnych dniach nadchodzącej katastrofy Niemiec cesarskich wszystkim się bardzo spieszyło. Jeden z bankierów — pisze dalej Dorten — wyjaśnił cele oderwania Nadrenii od Niemiec: zwycięska Francja zaanektuje lewy brzeg Renu, resztę Niemiec połknie rewolucja bolszewicka. Co wtedy stanie się z nami? Nasz plan polega na tym, aby utworzyć niezależne państwo reńskie w sojuszu z Francją i jej rynkami zbytu, które w przeciwnym wypadku stracimy na wiele, wiele lat...

— Czy chce pan z nami w tym celu współpracować? — pada w końcu pytanie.

Dortenowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Marzył o tym od lat.

Jedzie więc najprzód do Paryża, aby spotkać się ze starym Clemenceau, który daje mu błogosławieństwo na drogę i poleca opiece generała Mangina, dowódcy francuskich wojsk okupacyjnych w Niemczech zachodnich. W obliczu przygotowań do konferencji pokojowej w Wersalu — Paryż powierza Manginowi odcinek irredenty nadreńskiej. Francja patrzy bowiem łakomym okiem na „pieczeń reńską“ — na Zagłębie Ruhry z jej bogactwami. Od czasu Napoleona Francja ma po raz pierwszy okazję, aby tłusty ten kąsek wziąć wreszcie na widelec... Wprawdzie Anglicy i po części Amerykanie patrzą już krzywym okiem na francusko-reńskie zaloty, ale Clemenceau wierzy w swoją gwiazdę i instruuje Mangina.

Wyposażony w pełnomocnictwa nadreńskich baronów i instrukcje francuskich rezydentów, Dorten przyjeżdża do Kolonii i zatrzymuje się w „Hotelu pod Tumem“.

Dalszy ciąg nastąpi

siedzibą w Koblencji. Ich patronem był Adenauer.

ŚWIAT o tym wie!

MR. MUGGS JEDZIE DO RZYMU

Nie słyszeliście dotychczas o jednym z najsławniejszych aktorów USA, znanym pod „nazwiskiem“ mr. Muggsa? Nie? Przecież to milioner, z którym pisma takie jak np. „Picture Post“ przeprowadzają specjalne wywiady prasowe (na 3 kolumny). Tygodniowa jego pensja wynosi około tysiąca dolarów. Ma on osiem milionów wielbicieli w Stanach (wg pobieżnych obliczeń). O mało nie stał on się też w ubiegłym roku osią zatargu międzynarodowego. „Konserwatywni“ Anglicy mieli bowiem w tym okresie lekki żal do Amerykanów, ponieważ występy pana J. Freda Muggsa transmitowane były przez stacje telewizyjne USA na zmianę z transmisjami z... uroczystości koronacyjnej w Anglii.

Macie go sposobność nareszcie zobaczyć. Zdjęcie agencji Keystone przedstawia mr. Muggsa w momencie oglądania (z zainteresowaniem) zabytków starożytnego Rzymu z luksusowej amerykańskiej limuzyny.

To, że mr. Muggs jest szympansem, nikomu nie przeszkadza. Mówi raczej niedużo, co świadczy, że orientuje się w stosunkach kraju McCarthy'ego i wie, że za jedno nieostrożne słowo mógłby zawędrować — mimo sławy — z powrotem do klatki.

Należy podkreślić, iż przyjazd szympansa do Rzymu poprzedziła odpowiednia kampania reklamowa, należna — oczywiście — tylko „najsławniejszym“ osobistościom.

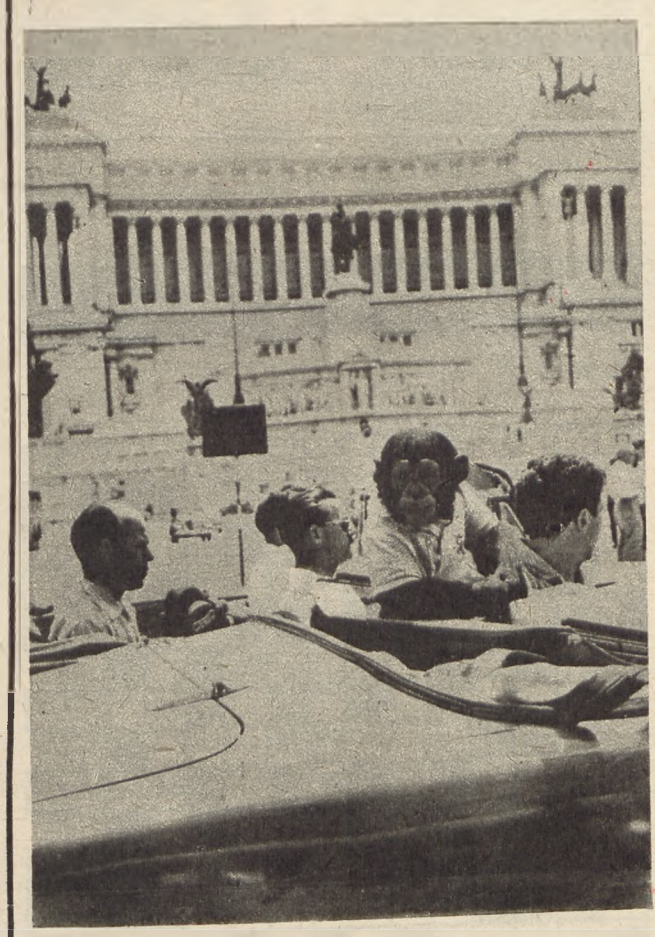

...GENERAŁOWIE ZOSTALI

W 1918 — Cesarz odszedł, a generałowie zostali. Feldmarszałek Hindenburg został prezydentem Rzeszy i zaczął szykować nową wojnę. Dzieła dokończył Adolf Hitler, który otrzymał z rąk Hindenburga urząd Kanclerza Rzeszy i odbudował Wehrmacht...

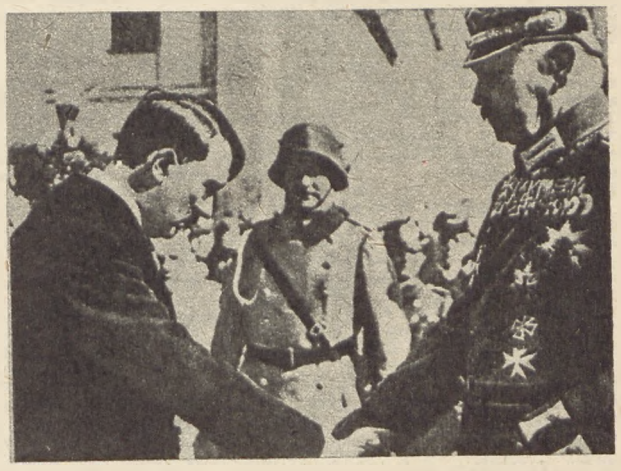

W 1945 — Hitler odszedł i znów generałowie zostali. Oto zbrodniarz wojenny feldmarszałek Kesselring i generał Martini w towarzystwie przedstawiciela władz okupacyjnych w Niemczech zachodnich, Mr. Watsona Watta. Mowa jest znów o odbudowie Wehrmachtu.

UPIORY PRZESZŁOSCI

Na łamach zachodnioniemieckiego dziennika „Die Welt“ straszą upiory przeszłości, które, zdawałoby się, zeszły ze świata przed kilkudziesięciu już laty.

„Die Welt“ zamieszcza w numerze z dnia 14 sierpnia artykuł, z którego dowiadujemy się, iż dokładnie w tym dniu mija 50 rocznica urodzin... „następcy tronu cara Wszechrosji“. Do artykułu dołączone jest zdjęcie, które reprodukujemy, przedstawiające wielką defiladę z roku 1911, na której główne honory odbiera onże następca tronu w wieku lat... siedmiu.

Od detronizacji ostatniego cara, w roku 1917, minęło lat' 37 z okładem. Któż pamięta Mikołaja Krwawego i jego potomków...?

Oczywiście... neofaszyści z Bonn.

TYLKO DLA KOTÓW

Wiadomo nie od dziś, iż w Stanach Zjednoczonych niezwykłą troską otaczane są... psy i koty milionerów. W każdym razie większą niż ludzie pozbawieni milionów. Mimo to rewelacją była dla nas poniższa wiadomość amerykańskiego dwutygodnika „Collier's“ z dnia 25 czerwca br.:

„Piękny nowy hotel, którego budowę ujrzeć możecie tego lata w zachodniej części Los Angeles, przeznaczony jest tylko dla kotów. Znaczy to — dla kotów wyłącznie. Pojemność wewnętrzna — 200 kotów. Pojedyncze pokoje z łazienkami...“

W dalszym ciągu „Collier's“ pisze, iż „hotel“ ten ma mieć nawet specjalne luksusowe ogrody, tudzież place zabawowe dla ewentualnych kociąt.

Słowem, nie ma to jak... kocie życie w USA.

CO SPOSTRZEGŁA SYRENKA

Chyba jednak zacznę tę „Syrenkę" od podziękowania. Od podziękowania Tobie, drogi Czytelniku z Krakowa za to, żeś mi w pewnym sensie otworzył oczy na brzydki warszawski zwyczaj, o którym dawno już powinnam była napisać. Nie znaczy to, żebym go nie dostrzegała. Przeciwnie. Nieraz, podobnie jak wszyscy warszawiacy, klęłam, złościłam się, wyrzekałam, ale... Właśnie. Tak to już bywa, że człowiek przyzwyczai się do złego i potem myśli, że to już tak zawsze musi być.

Po co mam zresztą pisać własnymi słowami, skoro St. Czarnecki, student Akademii Górniczo-hutniczej w Krakowie zrobił to za mnie.

Posłuchajcie:

„Stale mieszkam w Krakowie. Raz jednak, z końcem czerwca, przyjechałem do Stolicy. Zaraz przy wyjściu z dworca poinformowałem się o tramwaj, którym mam jechać, i stanąłem na przystanku. Zajeżdża numer którym mam jechać, zbliżam się do wozu, i nagle coś ciemnego przemknęło koło mnie, tak blisko, że tylko przypadek zdarzył, że nie znalazłem się pod kołami. Granatowa limuzyna najspokojniej przerywa tłum wsiadających i wysiadających, mija tramwaj i dalej z dużą szybkością jedzie w swoim kierunku.

Naprawdę byłem zaskoczony. Cóż za dziwne zwyczaje? To u nas w Krakowie od niepamiętnych czasów nie wolno pojazdom wymijać tramwaju stojącego na przystanku, a w Stolicy na ten wypadek nikt nawet uwagi nie zwrócił. Zaznaczam, że nie był to wypadek sporadyczny. Na każdym przystanku działa się rzecz identyczna. Nie zwrócił na to uwagi nikt z pasażerów ani nawet milicjant wsiadający do tramwaju.

A przecież z pewnością takie chuligańskie wybryki wiecznie śpieszących się szoferów taksówek czy samochodów służbowych wiele razy były przyczyną wypadku czy choćby awantury na ulicy".

Oj, były, były! Grzech wymijania w pełnej szybkości stojących na przystanku tramwajów mają na sumieniu nie tylko kierowcy samochodów osobowych i ciężarówek, ale także motocykliści, rowerzyści, a nawet furmani. A są przystanki, gdzie ten paskudny zwyczaj stał się prawdziwą plagą. Obok wspomnianego już przystanku koło Dworca Głównego, prym dzierżą: przystanek przy CDT w Alejach Jerozolimskich, przystanki przy wylocie z tunelu na Trasie W—Z, przy zbiegu Al. gen. Świerczewskiego i ul. Nowotki, na placu Unii Lubelskiej i... wiele, wiele innych.

Jako że Syrenka nie lubi być gołosłowna, zadała sobie trud przyłapania winnych na gorącym uczynku. Dotąd była teoria, teraz proszę, fakty, czarno na białym, z numerami samochodów, datą i godziną. Oto plon obserwacji takich „wyczynowych wyścigowców" na dwóch zaledwie przystankach.

18 sierpnia, godz. 19,30 — 20,00, przy CDT. Winowajcy: A 78-174, T 76-192, T 77-015, H 75-105, A 84-742, T 77-222.

19 sierpnia, godz. 9,30 — 10.00, przy wylocie z tunelu na Trasie W—Z: A 75-792, B 77-235, B 81-737, B 78-060, T 78-331, T 76-669 i ciągnik Nr 1064.

Otóż dość już tego lekceważenia ludzkiego życia i bezpieczeństwa. Syrenka składa następujący wniosek: wprowadzić albo zupełny zakaz mijania tramwajów stojących na przystankach, albo surowe mandaty dla niesfornych kierowców, motocyklistów, rowerzystów, furmanów, którzy tramwaje stojące na przystankach mijają nie zmniejszając szybkości do minimum.

Przecież my, piesi, płacimy mandaty za nieprawidłowe przechodzenie przez jezdnię i to właśnie po to, aby nie było wypadków. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, by przy pomocy mandatów niesforni szoferzy nauczyli się, jak należy jeździć w mieście.

SZACHY

PARTIA NR 122

grana w bieżącym roku podczas meczu ZSRR — Argentyna.

Obrona królewsko-indyjska

Białe: Awerbach (ZSRR)

Czarne: Panno (Argentyna)

1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2 — c4 g7—g6 3. Sb1—c3 Gf8—g7 4. e2—e4 d7—d6 5. Gf1—e2 0—0 6. Gc1—g5 c7—c5.

W debiucie tym czarne zazwyczaj grają e7—e5. W tym przypadku było to niemożliwe: 6...e5? 7. d:e5 d:e5 8. H:d8 W:d8 9. Sd5. Nie przypadło również czarnym do gustu 6...h6. Wówczas po 7. Ge3 i 8. Hd2 trzeba by się martwić z powodu osłabienia królewskiego skrzydła.

7. d4—d5 a7—a6 8. a2—a4 Hd8—a5.

W partii Awerbach—Matanowicz (Sztokholm 1952) czarne zagrały słabiej: 8...Hc7.

9. Gg5—d2 e7—e5?

Zablokowane centrum pozwoli białym rozwinąć silny atak na królewskim skrzydle. Bolesławski grał przeciw Awerbachowi w identycznej pozycji: 9...e6 10. Sf3 e:d5 11. e:d5 Gg4 12. 0—0 z równą mniej więcej grą.

10. g2—g4 Sf6—e8 11. h2—h4 f7—f5.

Aktywność ta jest nie na miejscu, gdyż osłabia tylko osłonę króla.

12. h4—h5 f5—f4 13. g4—g5 Wf8—f7.

Czarnemu gońcowi groziło po 14. h6 zamknięcie w rogu.

14. Ge2—g4 Ha5—d8 15. Gg4:c8 Hd8:c8 16. Sg1—f3 Gg7—f8 17. Ke1—e2!

Biały król będzie się bezpiecznie czuł pod osłoną centralnych pionów!

17... Wf7—g7 18. Wh1—h4 Sb8—d7 19. h5:g6 h7:g6 20. Hd1—h1 Gf8—e7 21. Wh4—h8 + Kg8—f7 22. Hh1—h6 Sd7—f8.

Niedobre było 22... Gf8 ze względu na 23. Sh4 Wg8 24. Wh7+, lub 23... Wb8 24. Sf5! Wg8 25. Hh7+.

23. Wa1—h1 Wa8—b8.

Po innych posunięciach czarnych również nastąpiłaby ofiara gońca na f4.

24. Gd2:f4! Hc8—c7.

Bić gońca nie wolno, bo 25. Wh4. Ponadto groziło 25. G:e5!

25. Hh6—h2 Sf8—d7 26. Hh2—h3! Sd7—f8 27. Wh8:f8+!

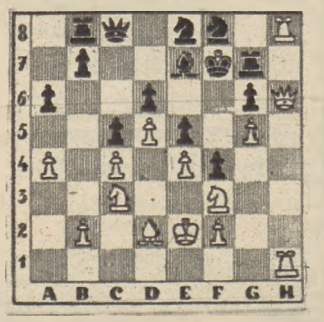

Pozycja po 23... Wa8—b8

Kf7:f8 28. Hh3—e6 29. Sf3—h4! Ge7—d8 30. Sh4:g6+ Kf8—g7 31. Sg6:e5 i czarne poddały się.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1) Rodzaj sportu, 5) Styl w architekturze, 7) Wybór, obiór, 8) Łagodny wietrzyk, 9) Współzawodnik, konkurent, 10) Prawy dopływ Wisły, 11) Miasto we Francji, 14) Ptak wróblowaty z rodziny kruków, 17) Kwietnik, 19) W mitologii greckiej: bóg nieba i pogody, 20) Inaczej pojedyńczo, 21) W mitologii greckiej: bogini tęczy, 22) Kamień ozdobny, 23) Zwrot staropolski, 25) Miara papieru, 26) Rodzaj drogi bitej, 27) Rodzaj sztuki teatralnej, 29) Lekka łódź sportowa, 31) Przybór do pisania, 34) Inaczej: błękit, 35) Ustępstwo od ustalonej ceny, 36) Maszyna zamieniająca energię strumienia na ruch obrotowy, 37) Inaczej: działanie, 38) Miasto w Czechosłowacji w którym znajdowała się meta jednego z etapów Wyścigu Pokoju.

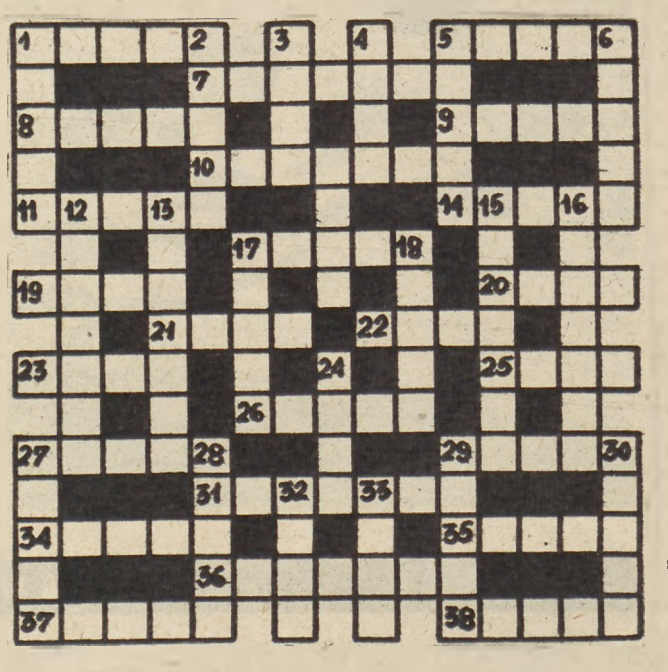

Pionowo: 1) Miara ilości, 2) W siatkówce: zagrania pierwszych piłek, 3) Mieszkaniec jednego z krajów azjatyckich, 4) Odbicie głosu, 5) Tymczasowy budynek, 6) Drogocenny naszyjnik, 12) Niechęć, uraza, 13) Jedna z funkcji trygonometrycznych, 15) Jedno z państw europejskich, 16) Sprzeczność, niezgodność, 17) Ślimakowaty rowek w przewodzie lufy, 18) Rodzaj ciastka, 24) Starszy pasterz góralski, 27) Inaczej: oddział, 28) Główna tętnica, 29) Jednostka miary drogich kamieni, 30) Łódź rybacka, 32) Mieszkaniec półwyspu bałkańskiego, 33) Ssak leśny.

(„Zetes" — Warszawa)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe". Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną **nagrody książkowe.**

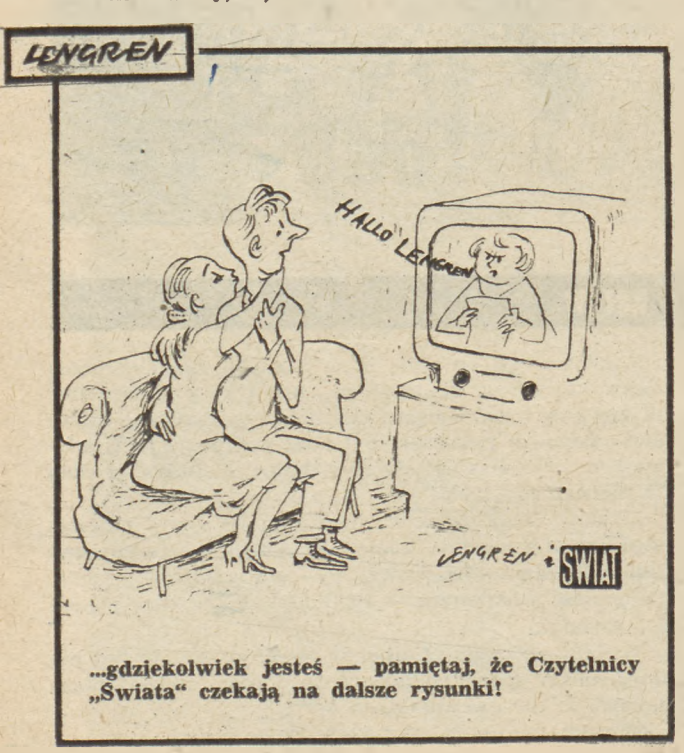

...gdziekolwiek jesteś — pamiętaj, że Czytelnicy „Świata" czekają na dalsze rysunki!

Od i do Czytelników

W związku z naszym felietonem w nr 32 z 8 sierpnia pt. „Czy Chopin lubił śledzika" otrzymaliśmy następujące dwa listy:

W związku z felietonem pt. „Czy Chopin lubił śledzika?", zamieszczonym w numerze „Świata" podzielić się chciałem z Wami nową wiadomością, którą znalazłem w „Życiu Warszawy" w dn. 3 sierpnia 1954. W reportażu „Marynarze z „Czecha" pomagają „Chopinowi" czytamy m. in.:

„...Na „Czechu" oddano cumy i „Fryderyk Chopin" ryknąwszy na pożegnanie trzykrotnie syreną, śpiesznie obrócił się rufą, biorąc kurs na łowisko..."

Jako żywo Chopin nigdy za życia nie ryczał, zwiastucza syreną. Nie obracał się do nikogo rufą. A teraz musi...

Do Chopina więc to zdanie na pewno nie pasuje. Może najwyżej do Panufnika. Boć przecież: „...ryknąwszy na pożegnanie syreną, śpiesznie obrócił się rufą, biorąc kurs na łowisko..."

Pasuje, jak ulał — prawda?

K. MAŁCUŻYŃSKI

I list drugi:

...dopuściliście się kilku niedokładności, które denerwują ludzi morza i mieszkańców Wybrzeża i wystawiają świadectwo z ujemną oceną ze znajomości spraw morza Waszym reporterom.

Nieprawdą jest, że oddany niedawno do użytku nowoczesny statek-baza otrzymał uroczyście imię „Fryderyk Chopin" — natomiast prawdą jest, że statek ten chodzi już kilka lat pod polską banderą i z imieniem „Chopin" jako drobnicowiec i pływający „ambasador polski" na morzach świata. Dopiero w roku bieżącym na skutek braku u nas specjalnych statków-baz rybołówstwa i na skutek najłatwiejszego przystosowania właśnie „Chopina" na statek-bazę, dokonano koniecznych przeróbek i skierowano go na Morze Północne.

Statki tak jak i ludzie otrzymują imię raz w życiu. Zmiana imienia może być dokonana jedynie z chwilą zmiany bandery lub innych bardzo poważnych okoliczności. Wymaga to bardzo wielu aktów i formalności.

Wierzcie mi, że gdyby „Chopin" był nowozbudowanym statkiem i przeznaczonym do rybołówstwa — nigdy by imienia „Chopin" nie otrzymał. My tu na Wybrzeżu też się coś niecoś w nazewnictwie orientujemy. A „Chopin" wiecznie bazą nie będzie i wróci do innego życia i zmiany nazwy nie potrzebuje. Nowozbudowany w przyszłości na naszej stoczni statek-bazę możemy nazwać „Dybowski". Uprzejmie proszę o sprostowanie artykułu.

Z poważaniem
ALOJZY KONKEL, rybak

Okazuje się, że mimo zarzutów, jakie stawia nam ob. Konkel — w zasadzie i on przyznaje, że nazwa „Fryderyk Chopin" dla statku-bazy nie jest odpowiednia...

Biorąc sobie jednak do serca postawione nam zarzuty — wyjaśniliśmy sprawę u czynników najbardziej kompetentnych — tj. w Ministerstwie Żeglugi.

Okazuje się, że statki jednak m o g ą zmieniać nazwę, i to wielokrotnie — i nie jest to związane ani ze zmianą bandery, ani z innymi poważnymi okolicznościami.

Wystarczy po prostu zgłoszenie zmiany do odpowiednich władz morskich i kilka czynności czysto manipulacyjnych — związanych z przeniesieniem zmiany do odpowiednich rejestrów.

Załatwić zmianę nazwy może bez trudu instytucja dysponująca w danej chwili statkiem — a więc w tym wypadku Przedsiębiorstwo Połowów Dalekomorskich „Dalmor".

„SWIAT"

ANEGDOTY

HISTORIE DLA SIEBIE

Balzac znany był zarówno ze swych znakomitych powieści, jak i z dobrego humoru, który go nigdy nie opuszczał, mimo stałych kłopotów finansowych. Pewnego dnia odwiedził Balzaka znajomy krytyk i zastał go przy dużej książce.

— Co pan pisze, mistrzu?

— Piszę jeden rozdział moich „Nieprzyjemnych historii".

— Ciekawe. Znam pańskie „Historie groteskowe", znam „Historie filozoficzne", ale o nieprzyjemnych nic nie słyszałem. Czy to jakieś nowe dzieło?

— Niech pan sam zobaczy — powiedział Balzac i podsunął krytykowi książkę, w której było napisane: Komorne 600 franków. Przegrana w karty 100 franków. Podatek 36 franków, itd.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA"

Redakcja: Warszawa, Nowy Swiat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 29,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch" Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wklęsłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa" Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. nr 483. Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-11475 podpisano do druku 25.VIII.54.

„NOWI GOSPODARZE MAJĄ GŁOS"

PODSUMOWANIE ANKIETY „ŚWIATA"

Dokończenie ze str. 8

dojrzałej, ładnej, miłej im i bliskiej architektury. Z drugiej strony musimy na wielką skalę rozwinąć stosowanie projektów typowych i powtarzalnych. Błędem jest przypuszczenie, że budownictwo typowe pociąga za sobą monotonię. Tak jak z 24 liter alfabetu można ułożyć tysiące, tysiące słów, tak z odpowiedniego zestawu elementów czy sekcji typowych można projektować cały wachlarz domów, o różnym, indywidualnym wyrazie architektonicznym, urozmaiconych i pięknych. Nasi architekci muszą ten problem twórczo rozwiązać.

BUDUJCIE BALKONY!

Ten punkt naszej ankiety stał się, nawiasem mówiąc, nie zamierzonym „plebiscytem balkonowym". Jednym wielkim głosem nasi Czytelnicy domagają się: „Budujcie balkony". Uważają oni, że balkony stanowią urozmaicenie elewacji, mogą być ważnym elementem plastycznym, a jednocześnie są dla mieszkańców ogromną wygodą i przyjemnością. Głosowanie za balkonami jest tak powszechne, że będą je musieli chyba uwzględnić nasi budowniczowie.

Z uznaniem na ogół wyrażają się uczestnicy ankiety o urbanistyce nowych dzielnic czy ulic. Socjalistyczne zasady budownictwa, przekreślające koszmarne „podwórka-studnie" i czynszowe zwaliska budowane dla celów spekulacyjnych, wprowadzają do naszych miast przestrzeń i słońce, przywracają każdemu prawo do zieleni i powietrza. Niepostrzeżenie dla nas samych nieraz nasze miasta zmieniają swe oblicze i swój charakter. Tak jak znikło już prawie ze słownika słowo „suterena", tak znika i „podwórko", „rynsztok". Pojawiają się w ich miejsce „przedszkole", „żłobek" „piaskownica", „zieleniec".

Zawstydzić natomiast wypadnie naszych projektantów, jeśli chodzi o „małą urbanistykę". Wciąż jeszcze popełniają grube błędy w rozmieszczeniu np. śmietników, trzepaków, tychże samych piaskownic. Przecież to elementarz wnętrza urbanistycznego. Tego trzeba się nauczyć w szkole. Proszą też nasi Czytelnicy, by przy drogach wewnętrznych i dojazdach kłaść chociażby wąski pasek chodnika. Było również wiele słusznych głosów na temat odpowiedniego wykorzystania zieleńców. Wszyscy lubimy zieleń i chcemy jej jak najwięcej. Ale jeśli każdy skrawek zieleni będzie ogrodzony i zaopatrzony surowymi napisami „Nie deptać" — to gdzie będą bawić się dzieci, gdzie się wyciągnie człowiek dorosły, spragniony odpoczynku? Wydaje się, że warto rozpatrzyć propozycję cytowanego już inż. Kruka, by wewnętrzną zieleń osiedla podzielić na zieleń dekoracyjną i „użytkową" — taką właśnie, na którą można wejść. Przy odpowiedniej konserwacji — do której musieliby się przyłożyć sami mieszkańcy — nie musiałoby się to kończyć zadeptaniem zieleńców.

MOTOCYKL, SAMOCHÓD I GARAŻ

Są wreszcie w ankiecie i takie żądania, które nagle i niespodziewanie dla nas samych ukazują, jak szybko rosną nasze wymagania, jak ze wzrostem stopy życiowej rosną potrzeby i żądania naszego społeczeństwa. Kilku Czytelników pisze w swoich listach, że np. własna łazienka, kiedyś nieosiągalne marzenie dla setek tysięcy ludzi, stała się dziś niezbędną częścią wyposażenia mieszkania robotniczego, że jednym z głównych i bardzo poszukiwanych mebli są biblioteczki i półki na książki — widoma oznaka ogromnego wzrostu czytelnictwa i kultury. Do takich wreszcie żądań, które spotkaliśmy w kilku listach, należy żądanie garaży — już nie na wózki dziecinne i rowery, ale na motocykle i prywatne samochody. Ob. Stanisława Klimek z osiedla Grochów III w Warszawie pisze: „Na osiedlu nie ma ani jednego garażu na samochody lub motocykle, a przecież osiedle buduje się na wiele lat i część jego mieszkańców będzie na pewno właścicielami własnych samochodów..." Czytelniczka z Nowej Huty (nazwisko znane redakcji), mieszkanka osiedla B-1, pisze: „Po mało-mu potraktowano rzecz bardzo ważną — bo garaże! (podkreślenie autorki). Stopa życiowa się podnosi — możemy sobie pozwolić na kupno motocykla czy samochodu, a nie ma go gdzie ulokować..."

W codziennym kołowrotku sami często nie dostrzegamy, jak się zmienia nasze życie. I czasem taka, pozornie błaha uwaga, otwiera nam na to oczy. Jak to szczęśliwie, że możemy dziś się martwić brakiem garaży na prywatne samochody.

* * *

Zamykamy naszą ankietę. Nowi gospodarze naszych miast zabrali głos. Dostarczyli nam wiele ciekawych uwag i wiele rzeczowego materiału. Wiele ostrej, ale słusznej krytyki. Trzeba teraz wyciągnąć wnioski. Redakcja nasza zwróciła się do Dyrekcji Naczelnej ZOR i Instytutu Budownictwa Mieszkaniowego i przekazała tam odpowiedzi naszych Czytelników z prośbą o wykorzystanie ich w praktyce projektowej i inwestycyjnej ZOR, jak również w pracach badawczych i naukowych Instytutu.

Na zakończenie chcieliśmy podziękować wszystkim uczestnikom naszej ankiety za ich trud, dobre chęci i za dużo interesującego materiału. Wasze głosy i wypowiedzi, drodzy Czytelnicy, pomogą uniknąć na przyszłość niejednego błędu.

Powołana przez Redakcję „Świata" komisja konkursowa rozpatrzyła nadesłane odpowiedzi i przyznała nagrody.

LISTA NAGRODZONYCH W ANKIECIE „ŚWIATA" — „NOWI GOSPODARZE MAJĄ GŁOS"

Zenon Jarkiewicz — inspektor kontroli — Warszawa, Grochów II — blok nr 6 I nagroda — radioodbiornik „Mazur".

Eugeniusz Kruk — inżynier — Nowa Huta, A zachód — blok 2a — II nagroda — współczesna grafika.

Wiesława Norek — ekspedientka „Domu Książki" — Nowa Huta A zachód, blok 12 m. 5. — III nagroda — narzuta na tapczan.

Jan Baka — insp. nadzoru DBOK — Nowa Huta C — 2 blok 42 m. 6. — IV nagroda — serwis do kawy.

Karol Jankowski — majster budowlany — W-wa, Stare Miasto, Barssa 10 — V nagroda — dekoracyjna lampa gabinetowa.

ALBUMY Z DZIEDZINY SZTUKI LUB FOTOGRAFII OTRZYMUJĄ:

Barbara Kopeć — studentka — W-wa, osiedle Ochota II.

Anna Tarska — studentka matematyki, Nowa Huta, osiedle A-1 bl. 5 m. 29.

A. Drożdżyńska — gospodyni domowa — Świdnik k/Lublina.

Aleksander Martyniec — kandydat na technika budowl. — Częstochowa, Rocha 53.

Stanisława Klimek — W-wa Grochów III, Międzyborska 65.

Zofia Skubała — pracownik naukowy PAN — Inst. Geogr. — W-wa, Warecka 8/10 m. 53.

Krystyna Kamieńska — Nowa Huta — osiedle B-2 blok 29.

KSIĄŻKI OTRZYMUJĄ:

Tadeusz Krzykalski — inżynier — Nowa Huta — osiedle A-0 kol. 10, blok 1a.

Helena Czeczotkowa — gosp. domowa — Nowa Huta — osiedle B-1 blok 1A m. 36.

Stefan Gbyl — pracownik umysłowy — Nowa Huta A1 blok 29 m. 13.

Bolesław Szymański — st. księgowy — Nowa Huta A zachód — blok 13 m. 9.

Mieczysław Klossowski — technik bud. — Kłodawa pow. Koło osiedle Solpotas — blok 3 m. 7.

Irena Olszewska — pracownica Prez. DRN — Nowa Huta osiedle A zachód — blok 9 m. 8.

Zygmunt Wawrzyniak, prac. umysłowy NBP — Poznań, Marcelińska 61 m. 5.

Jan Radomski — mgr., gł. księgowy — Nowa Huta — A zachód blok 11a/13.

Jerzy Markiewicz — prac. umysłowy — Nowa Huta A zachód bl. 9 m. 7.

Na lewo: płaszcz jesienny z wełny (sześćdziesiątki) albo flauszu jasnego. Poniżej: sukienia wełniana pod płaszcz deszczowy. Najlepiej w kolorze szarym. Jeśli chodzi o płaszcz, należy zwrócić uwagę na rękawy — modne są bardzo szerokie z dużym mankietem — kołnierzyki natomiast albo małe (jak w tym wypadku) — albo olbrzymie (zobaczycie w następnych odcinkach naszego działu).

TANIO i ŁADNIE

„POSZUKAJ W SZUFLADZIE!"

Kolejna lista nagrodzonych uczestników naszego konkursu nieustającego

Nagrody 1—2 — teczki skórzane
B. Adamczyk, Warszawa
W. K., Warszawa

Nagrody 3—7 — wydawnictwa albumowe
H. Łączyński, Gdańsk-Wrzeszcz
J. Kubisiak, Nowa Huta
E. Basiński, Poznań
L. Płatek, Skarżysko-Kamienna
T. Walawski, Wrocław

Zdjęcia, nadesłane przez uczestników konkursu, publikujemy w bieżącym numerze na str. 6 i 7. Dalsze zdjęcia zamieścimy w późniejszych numerach naszego pisma Przypominamy, że nasz konkurs nieustający trwa i dlatego proponujemy ponownie:

POSZUKAJ W SZUFLADZIE!

Maksym Gorki

WYBÓR DZIEŁ

T. I — IV

Przełożyli: K. Bilska, S. Brucz, J. Brzęczkowski, St. R. Dobrowolski, H. Górska, J. Jędrzejewicz, A. Kamieńska, S. Kłonowski, Z. Kwiecińska, S. Pollak, B. Rafałowska, A. Sandauer, A. Stawar, A. Stern, S. Strumph-Wojtkiewicz, J. Śpiewak, J. Tuwim. Ilustrowali: W Daszewski, J. Kober, M. Majewski, I. Witz. Redaktor Barbara Rafałowska. Okł. proj. A. Rudziński.

T. I — Opowiadania. Matka. S. 691 — opr. płt. zł 18.40
T. II — Dzieciństwo. Wśród ludzi. Moje uniwersytety S. 870 — opr. płt. zł 24.—
T. III — Artamonow i synowie. Publicystyka. S. 414 — opr. płt. zł 14.—
T. IV — Dramaty. S. 413 — opr. płt. zł 9.50

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

POTĘGA REKLAMY

Rys.: JERZY ZARUBA

CO ZA CUDOWNY PENSJONAT! TAM POJEDZIEMY!

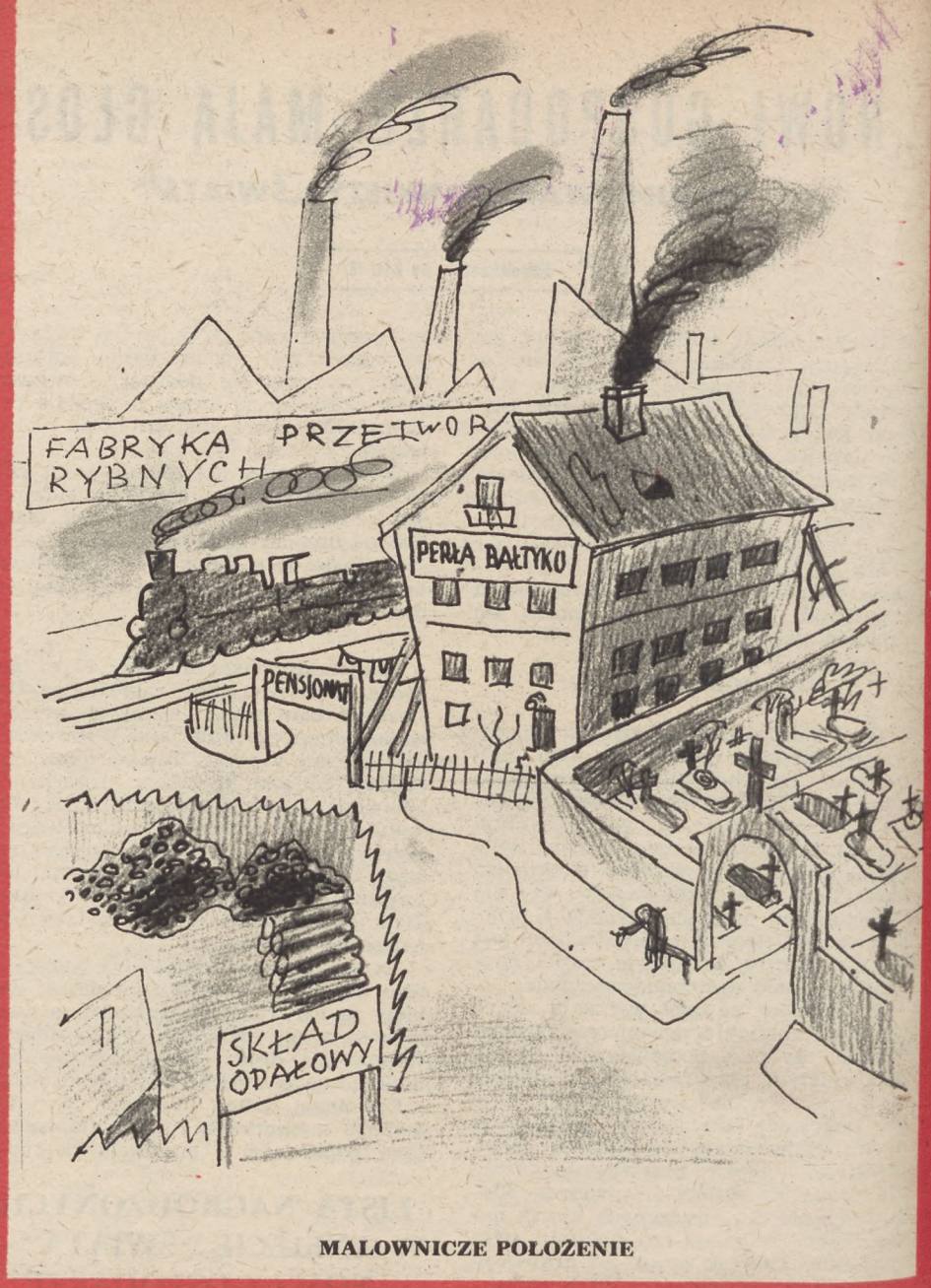

MALOWNICZE POŁOŻENIE

POKOJE Z WIDOKIEM MORSKIM

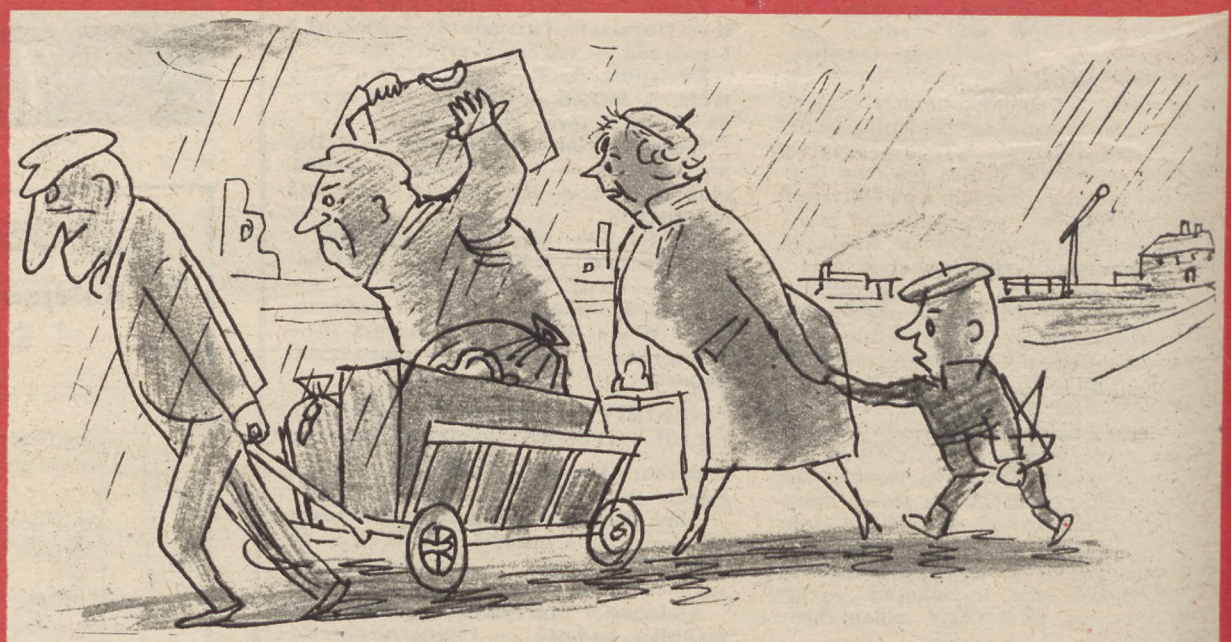

DOSKONAŁA KOMUNIKACJA W POBLIŻU KOLEI

WYKWINTNA I OBFITA KUCHNIA

Wyższa Szkoła Ekonomiczna
Biblioteka Główna
w Sopocie

UROZMAICONE ATRAKCJE WIECZORNE